



TEATRNN.PL/PARA

LUBLIN 3 XI 2025

P O D Z A M C Z E



22 lipca 1954 roku na placu Zebrań Ludowych w Lublinie (obecnie plac Zamkowy), fot. Edward Hartwig [zbiory Ewy Hartwig-Fijałkowskiej].

GAZETA O MIEŚCIE, KTÓREGO NIE MA

Kolejne wydanie czasopisma PA.RA poświęcamy w całości Podzamczu, miejscu, któremu należy się szczególna pamięć. Kiedyś w tej części Lublina była dzielnica żydowska. Masowy mord Żydów pod kryptonimem akcja „Reinhardt” hitlerowcy rozpoczęli od likwidacji lubelskiego getta w marcu 1942 r., a zakończyli egzekucjami 3 i 4 listopada 1943 r. Dlatego nasza gazeta ukazuje się właśnie dziś, w rocznicę tego tragicznego wydarzenia.

W centrum Podzamcza biegła ulica Szeroka, przy której mieszkał m.in. niezwykle kolekcjoner książek – Szmul Jakubowicz, nieopodał, przy ul. Jatecznej, tajemnicza rysownicza – Rywka Berger. Opowieści o nich znajdziecie na s. 13 i 7.

Podzamcze dotykały wszystkie bolączki przedwojennych polskich miast. Fasady kamienic maskowały biedę, której przejawami były za ciasne mieszkania, rozwalające się domy, codzienna walka o przetrwanie, głód. O realiach życia w dzielnicy żydowskiej przeczytacie w tekście „Rzeczpospolita dzieci” na s. 4.

Pewnie z czasem problemy udawałoby się lepiej lub gorzej przezwyciężyć. Podzamcze przeszłoby przez te same procesy co inne dzielnice, które doczekały się nowoczesnych szkół, ulic i sanitarnych wygód a domy wraz ze wzrostem zamożności ich właścicieli z walących się ruder, zmieniałyby się w całkiem przyzwoite nieruchomości. Rozwój Podzamcza został jednak brutalnie przerwany. Jego mieszkańcy – Żydzi – zostali zgładzeni a ich domy wyburzone. Zdjęcia dzielnicy bez życia, która zamienia się w stertę gruzu zamieszczamy na s. 8 i 9.

Po wojnie, gdzieś w gabinetach Bolesława Bieruta – bo miasta wówczas planowane były centralnie – zapadła decyzja, że odbudowy Podzamcza w przedwojennym kształcie nie będzie. Za to dawną Szeroką całkowicie zamaskuje plac Zebrań Ludowych, obecnie Zamkowy, a przy nim stanie nowe osiedle – ZOR „Podzamcze”. Pierwszym wielkim propagandowym spektaklem, który rozegrał się w tej scenerii, były obchody X-lecia PRL (s. 10 i 11). Ulicą Jateczną, przy której stała synagoga Maharszala, pobięła al. Tysiąclecia. W 1968 r. na Podzamczu ukończono dworzec autobusowy, który na długie lata narzucił mieszkańcom i przyjeźdnym sposób odbierania tej przestrzeni. Pamięć o dawnym Podzamczu zacierała się coraz bardziej. Tym bardziej nie można się dzisiaj od niej odwracać. O tym pisze Tomasz Pietrasiewicz na s. 3.

Małgorzata Domagała

O P O W I E Ś C I L U B L I N E R Ó W

MIESZKALIŚMY W BRAMIE GRODZKIEJ

NA MARGINESIE FILMU
PRAWDZIWY BÓL

Nie przepadam za kinem. Ekrany telefonów świecą w środku zwrotu akcji, paczki chipsów szeleszczą, ktoś głośno wysysa ostatnią kroplę coli przez lód. Każda z tych rzeczy to zamach na duszę. Mimo to, wybraliśmy się w tym roku z żoną na kilka filmów w ramach The Jewish International Film Festival w Australii, a ja miałem nadzieję, że może uda mi się odkryć jakąś magię. Podczas jednego z seansów na ekranie pojawił się zwiastun filmu *A Real Pain*. Co prawda wystąpili w nim znani Jesse Eisenberg i Kieran Culkin, ale to nie gwiazdorska obsada mnie w nim zainteresowała. Film opowiadał o dwóch kuzynach, którzy wyruszają z USA do Lublina, aby odkryć historię swojej babci z czasów Holocaustu. Moja nieżyjąca babcia dorastała w Lublinie.

PRZYSZŁA PORA NA PRACĘ DETEKTYWISTYCZNĄ

Kiedy w końcu obejrzelismy film, zaczęły działać zbiegi okoliczności. Kiedy kuzyni w filmie nazwali swoją babcię „Dory”, omal się nie zakrztusiłem – moja babcia miała na imię Dora. Kiedy na ekranie pojawiło się ujęcie Bramy Grodzkiej w Lublinie, pochyliłem się do żony i szepnąłem: „Muszę się dowiedzieć, gdzie mieszkała moja babcia”. Kiedy przekracza się pięćdziesiątkę, z człowiekiem dzieją się dziwne rzeczy.

Szczęśliwym trafem pewna konferencja ściągnęła mnie do Londynu. Skoro leciałem tam z Australii, dodanie do planu podróży wizyty w Polsce wydawało mi się tak naturalne, jak picie wódki pod kawior. Moja starsza siostra, mieszkająca obecnie w Londynie i bez wątpienia ulubiona wnuczka naszej lubelskiej babci, odpowiedziała na moje zaproszenie do udziału w wyprawie do Polski słowami: „Jeśli płacisz, wchodzę w to”. Typowe.

Następnie przyszła pora na pracę detektywistyczną. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności mamy amerykańską kuzynkę Anat, która obecnie mieszka w Izraelu i zarabia na życie jako przewodniczka turystyczna. Jako wnuczka znacznie młodszej stryjenki mojej babci, Anat odziedziczyła wiele rodzinnych dokumentów i знаła dawne rodzinne adresy. Podekscytowana powiedziała: „Czy wiesz, że dom twojej babci pojawił się w filmie *A Real Pain*? Mieszkała nad Bramą Grodzką!”. Lata później, już w Sydney, babcia wspominała, że stała w oknie swojego mieszkania w Lublinie i obserwowała ludzi wchodzących do miasta. Teraz mieliśmy punkt odniesienia: *A Real Pane* – prawdziwą szybę* przy ulicy Grodzkiej 21, tuż nad bramą, która niegdyś oddzielała chrześcijański Lublin od dzielnicy żydowskiej.

W 1928 roku ojciec mojej babci, pradiadek Redelman, przeczuwając zbliżające się nieszczęście, wyruszył do Australii, aby założyć tam firmę tekstylną. Zostawił swoją żonę Perłę i czworo małych dzieci w Bramie Grodzkiej. Po założeniu sklepu w Sydney, w 1930 roku powrócił do Lublina, aby zabrać swoją rodzinę, która cierpliwie czekała na jego powrót z drugiego końca świata. Te dwa lata przewagi ostatecznie uratowały rodzinę przed nacjonalistycznymi okrucieństwami wobec Żydów, które przyspieszały w kierunku ostatecznej katastrofy.

MUSICIE ODEJŚĆ. ŻYDOM BĘDZIE SIĘ ŹŁE ŻYŁO

W 1475 roku rabin Jakub z Trydentu śnił o otoczonym wzgórzami mieście, w którym kwitła żydowska nauka. Kiedy przybył do Lublina, rozpoznał w nim miasto ze swojego snu i został. Spacerując po brukowanych uliczkach Lublina, zrozumiałem jego urok. Miasto rozbłyskuje późnym wieczorem, a ciche zakątki wciąż szepeczą. Przez wieki było to miejsce, które ludzie wybierali, aby tu mieszkać i uczyć się, zanim galopująca historia odebrała im tę możliwość.

Przed podróżą wyobrażałem sobie Polskę jako kraj szary, wilgotny i wiecznie zimny. Pomimo złych przeczuć Lublin przywitał nas artystycznymi kawiarniami z latte, płatnościami zbliżeniowymi i wystarczającą ilością wódki, aby utrzymać dobry nastrój. Wbrew moim dziedzicznym niepokojom, miasto tętniło życiem i pełne było studentów i ulicznych grajków. Okazuje się, że historia może współistnieć z nowoczesną młodzieżą.

Zbliżyliśmy się do Bramy Grodzkiej, spodziewając się ospałego wolontariusza i zakurzonej tablicy pamiątkowej. Zamiast tego pracownicy podbiegli do nas, jakby czekali cały tydzień na dwóch Australijczyków z polską babcią. „Czy macie jakieś historie od swojej babci?”. Moja siostra i ja wymieniliśmy spojrzenia, które mówiły: „Zdecydowanie za mało”. Kiedy podaliśmy im jej adres, ich

oczy zabłysły. „Wasza babcia mieszkała w tej bramie” – powiedzieli z radością. Wyglądało to niemal tak, jakby archiwa zeszyły nagle z półek, przysunęły sobie krzesło i same napisały przedmowę do rodzinnej historii. Jednak myśląc o tym, co można było zobaczyć z tych okien, nie ogarnęło mnie uczucie zwycięstwa.

Według rodzinnych opowieści, zasłyszanych przy stołach szabatowych, okoliczni mnisi kupowali od naszych pradiadków jakieś zapasy. Zwiedzając Bramę, opowiedzieliśmy naszemu przewodnikowi, że podobno podczas wojny przychodzili najpierw od frontu, z czasem gdzieś z boku, a później od tyłu i cicho ostrzegali rodzinę: „Musicie odejść. Żydom będzie się źle żyło”. Słyszając to, nasz przewodnik wskazał przez okno klasztor oddalony o niecałe dwadzieścia metrów. W tym momencie przeszłość i teraźniejszość niemal zajął się. Następnie zaprowadzono nas na górę po wyszczerbionych kamiennych schodach, po tych samych schodach, po których w połowie lat 90. wspinał się mój pradiadek podczas swojej ostrożnej wizyty w Lublinie. Podobno w połowie zużytych schodów nagle zatrzymał się, wskazał na podłogę i oświadczył: „Mieszkałem tutaj”. Dopiero teraz, stojąc na tych samych schodach, zrozumiałem wagę tych słów.

TERAZ JESTEŚMY AUSTRALIJCYKAMI

W starym mieszkaniu naszej babci, a dzisiaj Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN”, wyglądaliśmy przez każde okno, a światło, które wpadało nam do oczu, wydawało się dziwnie znajome. Tak jak kiedyś to samo światło wpadało do jej oczu. Widok się poszerzył, drzewa są starannie przycięte, a grupy turystów przemykają obok, ale będąc tam z łatwością wyobraziłem sobie jej małą sylwetkę spoglądającą z tych okien na lata 20. XX wieku. Niezdecydowaną, ale gotową wyruszyć w nowe życie, które pewnego dnia sprowadzi na świat dwoje wnucząt przyciskających dłonie do szyby jej dawnego okna.

Babcia nigdy nie opowiadała zbyt wiele o Polsce. Zwykła mawiać, że kiedy rodzina przybyła do Australii, jej ojciec oświadczył: „Teraz jesteśmy Australijczykami”. Nie było już odwrotu. Stary świat pozostał w tyle. Nie został wymazany, ale cicho zamknięty w przepisach kulinarnych i rodzinnych opowieściach, do których moja starsza siostra i ja dopisaliśmy właśnie nowy epizod.

Pojechaliśmy do Polski w poszukiwaniu domu. Nie wiem, czy znaleźliśmy duchowe pokrzepienie, ale odkryliśmy wystarczająco dużo: dowód, że kilka kilometrów wędrówki może zakończyć dziesiątki lat niespokojnych poszukiwań. Moja siostra nadal jest mi winna pieniądze za bilety do teatru, ale tak naprawdę to ja jestem jej winien to, że razem ze mną spojrzała przez tę szybę oraz za wspomnienia, które od teraz przez nią przeświecają.

Tony Simmons
Tłumaczenie Piotr Nazaruk

* Gra słów odnosząca się do wymowy słów „pain” (ból) i „pane” (szyba), które w języku angielskim są homofonami.

Artykuł ukazał się pierwotnie w „The Australian Jewish News” 24 lipca 2025 roku jako Two Siblings, One Bubba and a ‘Real Pane’.



Helen „Dora” Chester z domu Redelman, babcia autora [zbiory prywatne].

WYDAWCA

Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN” w Lublinie

POMYSŁODAWCA

Tomasz Pietrasiewicz

REDAKCJA

Małgorzata Domagała
Paweł Krysiak (koordynator projektu)
Joanna Zętar



**PATRONAT
HONOROWY**



PREZYDENT MIASTA LUBLIN
KRZYSZTOF ŻUK

AUTORZY TEKSTÓW

Marcin Fedorowicz
Piotr Nazaruk
Małgorzata Michalska-Nakonieczna
Tomasz Pietrasiewicz
Wioletta Wejman

OPRACOWANIE GRAFICZNE

Małgorzata Rybicka



INSTYTUCJA
KULTURY
MIASTA LUBLIN

Partner:

za'KS
sprzyjamy wyobraźni

SKŁAD

Monika Tarajko

PLAKATY

Robert Sawa

FOTOEDYCJA / PRZYGOTOWANIE DO DRUKU

Michał Kaczkowski

KOREKTA

Teresa Markowska



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

DRUK

Drukarnia Akapit Lublin

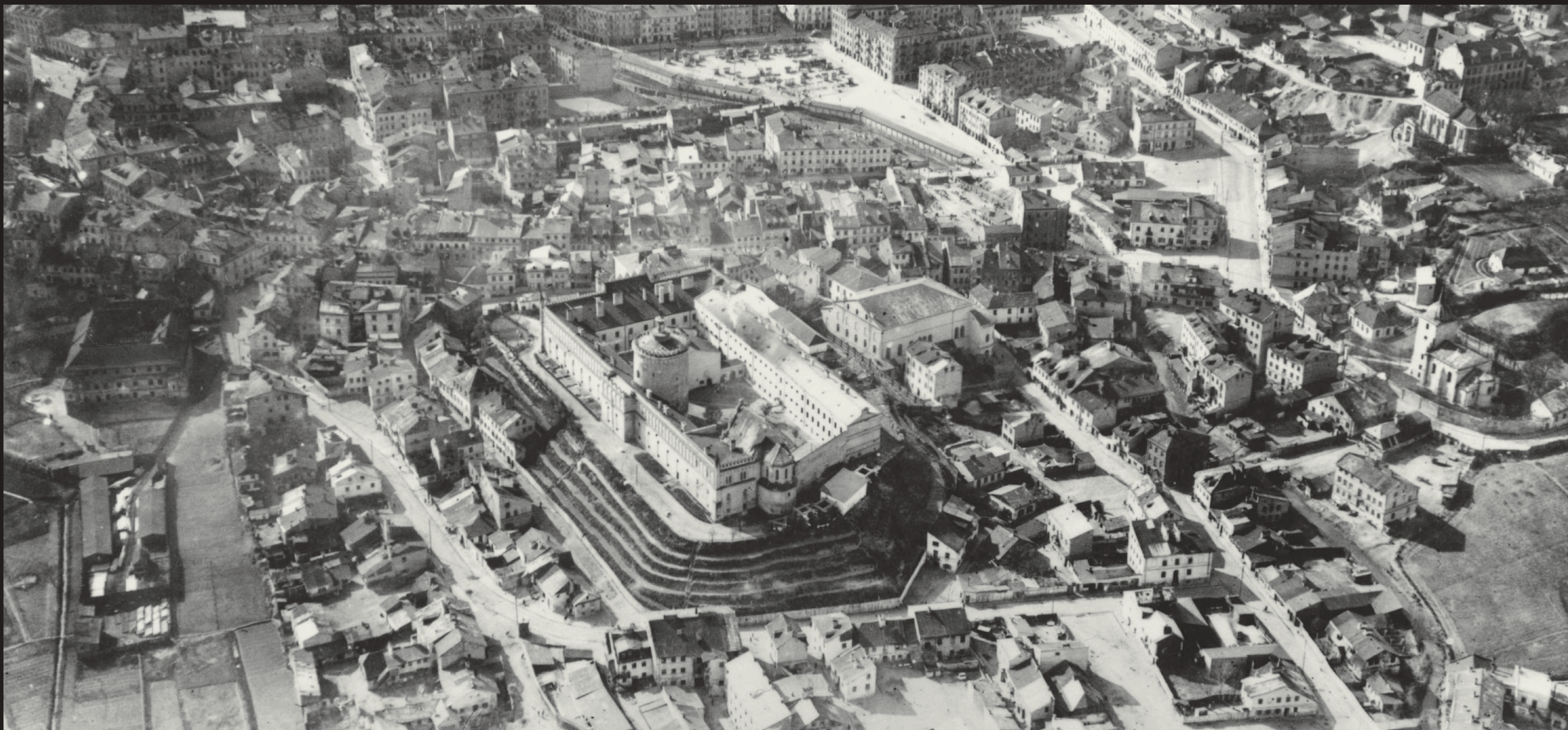
NAKLAD

1000 egzemplarzy
Wydrukowano na papierze Libro White

KONTAKT Z REDAKCJĄ

Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”
ul. Grodzka 21, 20-112 Lublin
tel.: 81 532 58 67
e-mail: pa.ra@tnn.lublin.pl
teatrnn.pl/para

Dofinansowano ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Okolice Podzamcza to jeden z najważniejszych w historii Lublina obszarów. Na tym terenie mamy do czynienia z nawarstwieniem kilku niezwykle ważnych w dziejach miasta okresów:

1. **Okres najwcześniejszy, związany z narodzinami miasta (XIII–XIV w.)** – przez ten teren prowadził też szlak handlowy z Rusi. W przyszłości wzdłuż części tego szlaku (położonego u podnóża Zamku) uformowała się ulica Szeroka.
2. **Okres narodzin Miasta Żydowskiego (początek XV w.)** – Miasto Żydowskie rozwijało się początkowo wzdłuż ulicy Żydowskiej/Jatecznej, następnie wzdłuż ul. Szerokiej. Z czasem wypełniło ono całe Podzamcze. Jego rozwój trwał (mimo licznych zawirowań – wojen czy też pożarów) nieprzerwanie do roku 1939. W jego historii warto zwrócić uwagę w szczególności na:
 - powstanie w drugiej połowie XVI w. Akademii Talmudycznej Isaaca Lurii – znajdowała się ona tuż obok synagogi,
 - powstanie w połowie XVI w. drukarni hebrajskiej i druk księgi Zohar (1623 r.) – drukarnia znajdowała się również w pobliżu synagogi,
 - historia cadyka – Widzącego z Lublina (ul. Szeroka 28).
3. **Okres wojny (1939–1942)** – czas zagłady Miasta Żydowskiego. Od marca 1941 r. stało się ono gettem. Wraz z likwidacją lubelskiego getta rozpoczęła się akcja „Reinhardt”, mającą na celu zagładę wszystkich polskich Żydów znajdujących się na terenie Generalnego Gubernatorstwa (około 2 mln osób). Duża część Miasta Żydowskiego położona na Podzamczu uległa całkowitemu zniszczeniu. Pozostały po nim tylko gruzy.
4. **Na 10-lecie PRL** ten teren został uporządkowany. Powstała przestrzeń, która pozostała w zmienionej postaci do dzisiaj.

Miasto Żydowskie zakryte całunem

Nowo powstała w 1954 r. przestrzeń w żaden sposób nie odnosiła się do tego, że w tym miejscu istniało kiedyś Miasto Żydowskie, ani do czasu, kiedy istniało tu getto (zlikwidowane wiosną 1942 r.). Podczas trwającej przez miesiąc akcji likwidacyjnej do obozu zagłady w Belżcu zostało wywiezionych około 30 tysięcy Żydów – mieszkańców Lublina. Możemy powiedzieć, że w 1954 r. Miasto Żydowskie zostało zakryte kotarą (całunem) i mieszkańcy miasta powoli zapominali o tym, że kiedyś istniało. Dopiero działania Teatru NN (początek lat 90.) zaczęły przywracać pamięć o tym nieistniejącym Mieście Żydowskim, o tym, że w tym miejscu zostało ono „pochowane”.

Trzeba powiedzieć to bardzo mocno – decyzja o tym, jak ma wyglądać i czym być ta właśnie przestrzeń miasta, pokaże kim jesteśmy i jaki mamy stosunek do pamięci o tym, co tu się wydarzyło. Czy weźmiemy odpowiedzialność za pamięć o tym, czy też odwrócimy się od tej historii.

Najbardziej rozpoznawalnym i uniwersalnym wątkiem historii Lublina w świecie jest zagłada Żydów. Jeżeli Lublin istnieje w jakiś sposób w świadomości przeciętnego europejskiego czy też amerykańskiego turysty (a w szczególności Żyda), to głównie przez Zagładę. Tak będzie już zawsze, czy tego chcemy czy nie. Nasze miasto nigdy od tej dramatycznej historii nie ucieknie.

OD TEJ HISTORII NIE MOŻEMY SIĘ ODWRACAĆ

DECYZJA O TYM, JAK MA WYGLĄDAĆ I CZYM BYĆ TA WŁAŚNIE PRZESTRZEŃ MIASTA, POKAŻE KIM JESTEŚMY I JAKI MAMY STOSUNEK DO PAMIĘCI O TYM, CO TU SIĘ WYDARZYŁO.

W tym kontekście należy postawić pytanie, jak zagospodarować tę przestrzeń, jakie obiekty wprowadzić do niej, żeby stworzyć niezwykłą Opowieść o tym miejscu. W sposób oczywisty powinna ona odnieść się do wspomnianych wcześniej okresów w historii miasta, a w szczególności do tego najbardziej dramatycznego – zagłady Miasta Żydowskiego. Lublin nie ma żadnej innej historii o takiej sile, którą mógłby opowiedzieć światu.

W Lublinie nie istnieje żadne muzeum opowiadające o historii miasta. Być może jest to właśnie ten niepowtarzalny moment, kiedy stajemy przed szansą stworzenia takiego miejsca. Ta właśnie przestrzeń (z jej historią) nadaje się do tego w sposób wyjątkowy. Ta przestrzeń i opowieść, którą ze sobą niesie zasługuje na to, aby powstał tu obiekt o randze światowej.

Zbudowane w tej właśnie przestrzeni muzeum mogłoby stać się jej organiczną częścią, wrastając w nią (pojawiając się i niknąc pod ziemią, będąc we fragmentach rodzajem wielkiego podziemnego korytarza prowadzącego przez historię miasta).

Wybór, którego musimy teraz dokonać, jest fundamentalny: między kiczem/cepielą, które mają zasłonić to, czym to miejsce było i odsunąć nas od ważnych pytań związanych z jego historią, a stworzeniem głębokiej Opowieści o znaczeniu tego miejsca nie tylko dla Lublina, ale też dla świata.

Żyjemy w czasach globalizacji, które stawiają każdego z nas i każdą społeczność przed wieloma ważnymi pytaniami o przyszłość – nie tylko w wymiarze czysto praktycznym, ale również w wymiarze etycznym i egzystencjalnym. Jedno z takich pytań ma charakter absolutnie fundamentalny i radykalny:

Po co istniejemy jako społeczność – co chcemy dać światu, żeby uczynić go lepszym?

Dramatyczna historia Lublina związała nas z problemem, który jest ważny nie tylko w naszym mieście ale też w całym świecie.

Problem z pamięcią o trudnych i dramatycznych zdarzeniach mają wszyscy – dlatego jest on uniwersalny.

Lublin powinien pokazać światu, jak można stać się miejscem umiejacym mierzyć się ze swoją przeszłością w sposób mądry, odpowiedzialny i pełen empatii. O dojrzałości każdej społeczności świadczy to, w jaki sposób widzi swoją przeszłość, czy jest wobec niej krytyczna i czy ma odwagę konfrontować ją z pamięcią innych. Dopiero pamięć oczyszczona z demonów przeszłości daje szansę na budowę lepszego świata i otwiera drzwi do przyszłości.

Oni tu nie przyjeżdżają, ale pielgrzymują

W tym miejscu chciałbym zwrócić uwagę na doświadczenie Ośrodka w odkrywaniu i ocalaniu pamięci o żydowskich mieszkańcach Lublina.

W roku 2014 niemiecka Fundacja „Lebendige Stadt” ogłosiła konkurs na „Najbardziej tętniące życiem miasto pamięci”, adresowany do europejskich miast i gmin. Dotyczył on projektów, które w znaczący sposób przyczyniają się do tworzenia kultury pamięci na ich terenie, pokazując, w jaki sposób można radzić sobie z trudną historią. Celem konkursu było wyłonienie z całej Europy przykładów najlepszych praktyk, mogących stanowić model dla innych miast. Projekt Ośrodka „Pamięć – Miejsce – Obecność” (realizowany od 1994 r.) został wybrany w tym konkursie z ponad pięciuset projektów do grupy pięciu najwartościowszych europejskich projektów mierzących się z problemem pamięci.

Przywołam też dwie wypowiedzi, które pozwalają lepiej zrozumieć to, jak powinniśmy patrzeć na żydowskie dziedzictwo Lublina. Marc Borkowski, wybitny, światowej sławy brytyjski specjalista od public relations pisał:

Część mojego pobytu [w Lublinie] związana była z wizytą w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN”. Jest to nie tyle muzeum, ile żywe archiwum, które w sposób wirtualny odbudowało lubelskie nieistniejące miasto żydowskie. Zdumiewający wyczyn twórczej woli i geniuszu. Nie ma nikogo, goja czy Żyda, kto nie byłby głęboko poruszony tym doświadczeniem. Siłą miłości przywrócono pamięć o lubelskich Żydach, zgładzonych przez nazistów.

Działalność „Bramy Grodzkiej” jest dowodem na to, że nawet przy bardzo skromnym budżecie można stworzyć coś o ogólnoświa-

towym znaczeniu. Już tylko to zasługuje na uhonorowanie. [...] Samo miejsce jest niewielkie, ale szczerze wypełnione – od parteru aż po strych nadzwyczajnymi materiałami, w tym zarejestrowanymi i odtwarzanymi opowieściami tysięcy ludzi. [...] Działania „Bramy Grodzkiej” dają nam odrobinę nadziei. Pozwalają spojrzeć na życie zza zimnych, dokładnych statystyk, pozwalają lepiej zrozumieć ogrom Holocaustu – połowa Lublina zniknęła z powodu nazistowskiej nienawiści. Nawet Dom Anny Frank błędnie przy tym miejscu. Jedną z najbardziej przejmujących historii jest historia Henia Żytomirskiego – małego żydowskiego chłopca, którego życie najpełniej wyraża istotę i charakter tego miasta. [...] Działania „Bramy Grodzkiej” są przykładami tworzenia nowego ducha miasta, pełnego życia i nadziei.

Aron Bloomberg, dziennikarz amerykański, potomek żydowskich emigrantów z Polski:

Jak wielu amerykańskich Żydów, po raz pierwszy przyjechałem do Polski z niechęcią. [...] Ale znalazłem się w najbardziej nieprawdopodobnym mieście świata – w Lublinie. Odwiedziłem tamtejszy Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, w którym zobaczyłem niezwykłą wystawę poświęconą lubelskim Żydom. Dostałem też tam w prezencie grube pismo „Scriptores” w języku, polskim. Nie rozumiałem ani słowa, ale ze wzruszeniem oglądałem zamieszczone w nim fotografie lubelskich Żydów, ich synagog i domów nauki. Z trudem odcyfrowywałem zapisane w polskiej transkrypcji, jakże ważne dla naszej tradycji słowo Ha-Tikwa, które jest tytułem najpiękniejszej pieśni syjonistycznej. A więc nasze, żydowskie sprawy są tu znane? Zdziwiłem się bardzo. Nieoczekiwanie dla mnie samego mój reportaż nabrał optymistycznego charakteru.

Po powrocie [do Stanów Zjednoczonych] zrozumiałem, że Żydzi powinni ośwoić sobie Polskę. Czy może w tym pomóc ruch turystyczny? Nie wiem. Chciałbym, aby młodzi amerykańscy Żydzi, a także młodzi Izraelczycy, jeździli po miejscach związanych z ich historią. Żeby przyjeżdżali do Lublina, bo choć nie ma tu, i nigdy pewnie już nie będzie, wielkiej jeshivy, to przecież duch nauki ciągle krąży po tym mieście.

Myszę, że Polacy mogą pomóc nam sobie ośwoić, pokazując takie instytucje, jak Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN” w Lublinie, [...] Bo Żydzi nigdy nie będą tu przyjeżdżać tak, jak w inne miejsca. Oni tu nie przyjeżdżają, ale pielgrzymują. Kiedyś widziałem w Polsce chrześcijan ruszających w pieszę pielgrzymkę do Częstochowy. I pomyślałem, że kto jak kto, ale oni – pielgrzymi – powinni zrozumieć nas, Żydów.

A my, przyjeżdżając i modląc się na grobach naszych ojców, możemy pomóc Polakom ośwoić siebie. Jesteśmy przecież tak podobni!

Dlatego, myśląc o przyszłości tego miejsca, warto wykorzystać wiedzę i doświadczenie Ośrodka związane z opowiadaniem o tym, co się tu wydarzyło w przeszłości.

Tomasz Pietrasiewicz*

* Tomasz Pietrasiewicz, dyrektor Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”

1 Podzamcze, 2 poł. lat 30. XX w., fot. autor nieznanym [archiwum Instytutu Sztuki PAN].

„Każdego dnia pod bramą placu TOZ gromadzą się bose dzieci, które nie dostały się na półkolonie – pisał w 1935 roku na łamach »Lubliner Sztyme« dziennikarz ukrywający się pod pseudonimem A Junger. – Zerkając zazdrośnie na drugą stronę plotu, gdzie bawią się ich radośni braciszki i siostrzyczki, zdają się pytać: – Jak dostać się do Raju?».

„Półkolonia TOZ-u liczy tego lata prawie tysiąc dzieci – kontynuował. – Pochodzą z różnych okolic i ulic, ale wszystkie one są dziećmi nędzy i niedoli. Prawdziwym symbolem lubelskiej biedy są natomiast dzieci z Krawieckiej i one naturalnie zajmują »pierwsze miejsce« na półkoloniach. W poprzednich latach uczęszczało na nie około 600 dzieci, ale w tym roku ich liczba wzrosła do tysiąca. To oczywiście duży wzrost, ale jeżeli weźmie się pod uwagę, ile dzieci z Lublina potrzebuje choć odrobiny świeżego powietrza, słońca, smacznego śniadania i obiadu, okaże się, że ów tysiąc jest zaledwie kroplą w morzu potrzebujących».

„Motorem tej pięknej akcji był wspaniały lekarz bundowski”

Półkolonie letnie dla biednych dzieci żydowskich organizowano w Lublinie od 1925 roku. Początkowo odpowiedzialny był za nie specjalny komitet przy Gminie Żydowskiej, ale od czerwca 1926 roku wszelkie sprawy związane z ich organizacją przejął lubelski oddział TOZ – Towarzystwa Ochrony Zdrowia Ludności Żydowskiej w Polsce. Od samego początku za miejsce kolonii służył obszerny, 2-hektarowy plac przy ulicy Siennej 3, niegdyś nazywany placem Orenbroda, potem boiskiem Klubu Sportowego Hakoach, którego członkowie uporządkowali i ogrodzili teren, a w końcu placem TOZ-u. Dziś nie sposób doszukać się nawet śladów tego miejsca – ulica Sienna straciła połowę swojego biegu, środek dawnego placu przecięły nitki alei Tysiąclecia, a w jego południowej części osiadło Centrum Handlowe Vivo! Ale przed wojną była to niemal enklawa, którą od zachodu i wschodu oddzielały od miasta Czechówka i kanały prowadzące do Bystrzycy, od południa mokradła po dawnym Stawie Królewskim, a od północy cmentarz na Grodzisku i rozległe łąki ciągnące się aż po Blotniki.

Każdego lata na przełomie lipca i sierpnia plac na kilka tygodni zapelniał się po brzegi biednymi żydowskimi dziećmi. W większości pochodziły z domów robotniczych (ok. 30%), co w warunkach przedwojennych oznaczało pracę ich rodziców od świtu do nocy za głodowe stawki. Drugie miejsce zajmowały dzieci rzemieślników (ok. 25%) i kupców (ok. 15%), w obu przypadkach drobnych, pracujących w przydo-



RZECZPOSPOLITA DZIECI

movych fabryczkach albo handlujących byle czym. Mniej niż 20% stanowiły na półkoloniach dzieci osób pracujących w wolnych lub nieokreślonych zawodach, zaledwie 2% natomiast dzieci urzędników, zapewne lekarzy, nauczycieli i wychowawców pracujących dla TOZ-u. Ale bywało również, że ich rodziny nie miały żadnych (!) środków utrzymania (ok. 10%), po kilkanaście osób gnieździło się w ciemnych, zawilgotnionych i rozpadających się domkach lub suterynach na Podzamczu, bez wody, kanalizacji i szymb w oknach. Rodzina nieco lepiej sytuowana często mogła jedynie pomarzyć o posłaniu swojego dziecka na półkolonie, ponieważ w kolejce czekało już kilkadziesiąt innych, dla których niecodziennym wydarzeniem był chociaż jeden ciepły posiłek w ciągu dnia.

Zbieranie funduszy na sfinansowanie półkolonii (w sezonie 1928/1929 ponad 12 000 zł, w kolejnym już niemal 37 000 zł) spędzało sen z powiek organizatorom z dr. Szłomą Herszenhornem na czele, faktycznym inicjatorem półkolonii, który w połowie lat 30. zastąpił na stanowisku prezesa TOZ-u dra Hersza Mandelbauma, od 1935 r. dyrektora szpitala żydowskiego.

„Motorem tej pięknej akcji był wspaniały lekarz bundowski dr Herszenhorn – pisał Michał (Mendel) Wajsman w artykule *Mój lubelski „Bund”*. – Ten prawdziwy lekarz ludowy dokonywał cudów, by kolonie te tworzyć i osobiście codziennie je odwiedzał. Ile to wszystko kosztowało energii i siły? Dr Herszenhorn sam sprawdzał, badał i leczył dzieci. I to wszystko bezinteresownie, bez żadnej placu – odwrotnie, często dopłacał. Gdzie, w jakim kraju, w jakiej partii znajdziemy obecnie takich lekarzy?».

Półkolonie były zresztą tylko jedną z aktywności lubelskiego TOZ-u. Oprócz nich w 1929 roku Towarzystwo prowadziło zakład higieny szkolnej (mający pod swoją opieką 2043 dzieci uczęszczających do 28 szkół, chederów i innych placówek opiekuńczych, w tym Ochrony przy Grodzkiej 11), gabinet dentystyczny, światłolecznicy, Stację Opieki nad Matką i Dzieckiem (w ramach której w 1929 roku wydano ponad 10 000 litrów mleka), sekcję wychowania fizycznego i kolonii letnich w Kazimierzu, a w latach późniejszych także poradnię psychologiczną i przeciwcruźliczą. W 1929 roku największe wpływy do kasy TOZ-u pochodziły z dotacji Urzędu Miasta i centrali Towarzystwa (po około 11 000 zł). Około 3500 zł wynosiły wpływy ze składek członkowskich, Gmina Żydowska przekazywała ok. 2500 zł, Urząd Wojewódzki tysiąc, zaś 2 do 3 tysięcy pochodziło z różnego rodzaju zbiórek i imprez. W powyższym zestawieniu uwagę zwraca bardzo niska kwota dotacji od Gminy Żydowskiej, za co Rada Gminy była ostro atakowana przez środowisko lubelskich bundowców.

„Znalazłoby się tam nawet kilkadziesiąt tysięcy złotych – komentowała »Lubliner Sztyme« (19.07.1929) – ale gdy idzie o taką drobnostkę, jak ratowanie zdrowia wynędzniałych dzieci, kasa Gminy zamknięta jest na tysiąc spustów. Cóż, w takiej sytuacji ubogie matki muszą wysupłać kilka złotych na pomoc dla półkolonii».

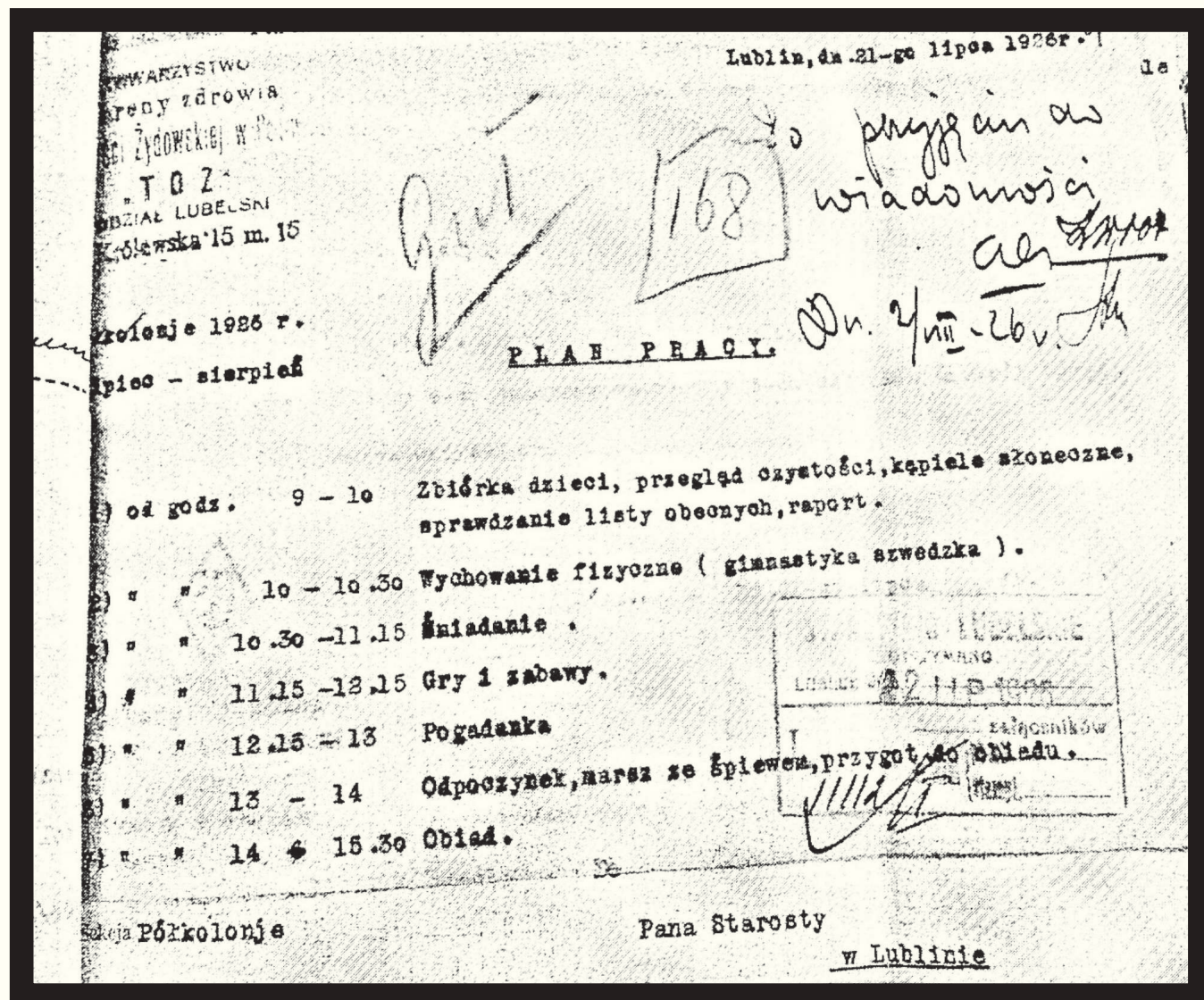
Stan rzeczy nie uległ większej zmianie również pod koniec lat 30., kiedy oprócz półkolonii i wszystkich innych swoich aktywności TOZ organizował także szeroko zakrojoną akcję dożywiania dzieci w wieku szkolnym.

- „Dożywianie ponad 500 dzieci kosztuje około 1000 zł miesięcznie – wyjaśnił Herszenhorn, zagadnięty przez dziennikarza »Lubliner Sztyme« (11.02.1938).
- Koszt śniadania to 9 groszy, z czego od 1 do 5 groszy wpłacają dzieci, resztę pokrywa TOZ. Pieniądze pochodzą częściowo z centrali, częściowo z Komitetu Opieki nad Dziećmi i Młodzieżą, pozostała suma z kasy naszego oddziału.
- A Gmina? – dopytywał dziennikarz.
- W październiku Gmina obiecała nam 150 zł, ale jak dotąd nie otrzymaliśmy od nich żadnych pieniędzy».

Przy tym niemal cała działalność TOZ-u była deficytowa – o ile przykładowo Stacja Opieki nad Matką i Dzieckiem w 1929 roku generowała przychody w wysokości ok. 16 000 zł, to jej utrzymanie kosztowało już ponad 18 000 zł. W preliminarzu budżetowym na rok 1930 w kasie TOZ-u brakowało prawie 60 000 zł, więc dziurę zasypywano pożyczkami. Koszty społeczne tworzone dzień w dzień przez nędzę lubelskiego Podzamcza przewyższały jednak wszelkie możliwe odsetki, dlatego co roku konsekwentnie organizowano półkolonie i zwiększano liczbę przyjmowanych na nie dzieci.

Wśród dzieci z Krawieckiej

Kiedy codziennie rano dzieci przychodziły na Sienną, „zielony plac półkolonijny zaczynał rozbrzmiewać śpiewem, wrzawą i śmiechem tysiąca Szłomków, Joselków i Saré – pisał A Junger. – A gdy tylko jedno z tysięcy dzieci wydało z siebie choćby chichot, zaraz cały plac wypełniał się salwami gromkiego śmiechu”. Po sprawdzeniu obecności następował przegląd higieny, a od 1934 roku kąpiel – czasem pierwsza od dawna – w pobudowanych na placu prysznicach i basenach. Po przydzieleniu do odpowiednich grup wiekowych, wychowawcy zarządzali nowoczesną wówczas gimnastykę szwedzką i kąpiele słoneczne (ile spośród tych dzieci całymi dniami przesiadywało w piwnicach lub dusznych chederach bez okien?). Potem śniadanie – po białej bułce z masłem i szklance mle-



1 Plac przy ulicy Siennej – uroczystość zakończenia półkolonii TOZ-u w 1937 roku. Dziewczynka na pierwszym planie niesie transparent z napisem: „Przeciętny przyrost wagi 2,25 kg”. W tle zabudowania placu Krawieckiego oraz ulic Krawieckiej i Wąskiej [zbiory Dwory Trachtenberg].

2 Plan pracy półkolonii TOZ-u w 1926 roku [Archiwum Państwowe w Lublinie, zespół archiwalny nr 412 – Starostwo Grodzkie Lubelskie, Towarzystwo Ochrony Zdrowia Ludności Żydowskiej w Polsce „TOZ” Oddział w Lublinie 1926-1938, sygn. 43].

ka lub kakao dla każdego dziecka. Dzień wypełniały gry i zabawy edukacyjne oraz pogadanki z nauczycielami, pracującymi na koloniach za pól darmo.

„Dostawali bardzo, że tak powiem, maluchną pensję, bo nie było z czego płacić – wspominał Aleksander Szryft. – To byli ludzie, którzy przez cały rok pracowali w szkołach, w przedszkolach gdzieś, a podczas ferii letnich sobie dorabiali. To byli bardzo oddani ludzie”.

„Personel składał się z nauczycieli naszej szkoły im. Pereca, zespołu wychowawczego Cukunftu oraz sportowców z klubu Jutrznia-Morgensztern” – opowiadał Josef Fraind.

Jedną z wychowawczyń na półkoloniach była Mira Szuwał, która zapamiętała:

„Myśmy się tymi dziećmi zajmowali. Dzieci dostawały 3 razy jedzenie: śniadanie, a później było picie i takie ciastko, a później był obiad, obiad ja też tam jadłam. Dzielili mydło i różne rzeczy dla dzieci, przybory szkolne, bo rodziny nie mogły kupić. Doktor Herszenhorn zamykał swoją klinikę zupełnie i to było jego zajęcie, półkolonie dla biednych dzieci w wakacje. Co dwa tygodnie zmieniały się dzieci, myśmy pracowały dwa miesiące tam. Opieka, dzieci były szczęśliwe, zabawy, jedzenie dobre. Pracowała tam ze mną Klajman, ona mieszkała na Jezuickiej ulicy, jej brat grał na skrzypkach. Wiele ich jeszcze było tam, jedna się nazywała Mela... zapomniałam jej nazwiska, ona nie została przy życiu. Pracowali też mężczyźni, jeden z nich nazywał się Słuszny, on pracował z nami razem. Były w Lublinie różne takie związki, opieka społeczna, ale ta półkolonia... to było coś”.

Kiedy zegar wybijał godz. 14, wśród dzieci zaczynało panować szczególne poruszenie, zbliżał się bowiem jeden z najbardziej ekscytujących punktów dnia – obiad. Ogólna wrzawa szybko ustępowała wartkiej melodii łyżek i widelców stukających o naczynia, która przez kilkanaście następnych minut niosta się po całej okolicy. Do 1934 roku półkolonijna kuchnia znajdowała się w należącym do Gminy Żydowskiej budynku przy Krawieckiej 41, dawnej fabryce papierosów Krasuckiego. W porze obiadowej trzeba było albo przejść z kilkuset dziećmi na Krawiecką, albo zanieść obiady na plac, do szopy, która zamieniała się w jadalnię.

„Ta kuchnia istniała i funkcjonowała tylko przez te dwa miesiące, kiedy działała ta kolonia – wspominał Szryft. – Ale oni się starali rozwiązać ten problem: bo jak gotowali na Krawieckiej, to potrzebowali przenieść to na Sienną – to był kawał drogi. I był taki jeden zdrowy facet, który dźwigał te kotły. Z jednej i z drugiej strony zupa. Nie wiem, jak oni zmobilizowali pieniądze, ale w ostatnich latach udało im się zbudować kuchnię na tym placu, na Siennej ulicy. I to było wielkie ułatwienie dla kierownictwa”.

„Świetne jedzenie tam było – wspominała Szuwał. – Tam przyszli gotować kucharze, którzy na co dzień gotowali na ślubu”.

„Pamiętam jednego lekarza – opowiadała Cypora Borensztejn. – On należał do Bundu, Szlomo Herszenhorn. On zajmował się półkolonią. Dzieci dostawały bułeczkę i kakao, i mleko, i obiad. Opowiadają, że to wszystko on urządził. Że on zaglądał do kuchni, żeby te, które zajmują się gotowaniem... żeby nie ukradli, że to wszystko dla dzieci. On ważył każde dziecko przed kolonią i po kolonii, ile nabyło. To był nadzwyczajny człowiek”.

Większość dzieci uczestniczących w półkoloniach przybierała na wadze około kilograma, ale zdarzało się, że po 2, 3 i więcej. Najedzone i wypoczęte wracały na noc do swoich domów.

„Głośno niesie się radosny refren wymyślonego przez nie kolonijnego hymnu – pisał A Junger. – Śpiew tysiąca dzieci z Krawieckiej, z ubogich, brudnych ulic i ciemnych mieszkań, z nędzy i biedy, które śpiewają o słońcu i radości: Nasze półkolonie – słońca pełne i kochane! Przyjdzie gość z Krawieckiej i na nogi rychło stanie! Och, półkolonie – naszego TOZ-u, hej! Apel, kąpiel, śniadanie, obiad, to jest życie, to jest dzień!”.

O Symrze Plachcie i Kenie Maynardzie

Tuż po śniadaniu każda z grup siadała wokół swojego wychowawcy, a plac zaczynał przypominać łąkę pełną gigantycznych, różnobarwnych kwiatów. Nadchodził czas opowiadania bajek, jedynego bogactwa ubogich dzieci.

„Wszystkie znają bajki i wszystkie chcą opowiadać – relacjonował A Junger. – W oczach jarzą im się iskierki, jeszcze chwila a całym poniosą je skrzydła fantazji”.

Ale każde z dzieci miało nieco inną bajkę do opowiedzenia, podobnie jak odmienne były świat i środowisko, w których wzrastały. Jednym z nich był czarnowłosy Mojszele z mysimi oczkami, który chodził do Szkoły Powszechnej. Godzinami mógł opowiadać o bohaterze, który walczył na wojnie w różnych bitwach za ojczyznę. Albo o królewnach i królewiczach, którzy żyli w zaczarowanych pałacach i umieli latać jak ptaki. A chociaż opowiadał po żydowsku, to mówił bajkes (zamiast majses), bohater (zamiast giber), gwałczet (zamiast gekemft), wojne (zamiast krig lub milchome), królewnes, królewiczes, bitwes i tak dalej. W głowach wielu dzieci z półkolonii roilo się od wojen i bitew, poświęceń i triumfów.

„Kiedy się na to patrzy i tego słucha – konstatował smutno A Junger – mimowolnie błyska w głowie myśl: czy wyrosną na coś więcej niż tworzywo wojny i mięso armatnie?”.

Zupełnie inne bajki opowiadał 11-letni Chaimek, mały, smukły chłopczyk, który uczył się w religijnej Talmud-Torze. On znał straszne bajki: o demonach, które czają się na strychach i przemieniają raz w koty, raz w kozy. Albo o biednym Żydku, który chodził po domach i utrzymywał się tylko z otrzymanej jałmużny, a w zamian za to na „tamnym świecie” został wynagrodzony wszystkimi możliwymi łaskami. Znał też radosne bajki: o Symrze Plachcie, który oszukał trzech chłopów, o Froimie Grejdigerze, o Herszlu z Ostropola i innych postaciach z żydowskiego folkloru, które dla wielu tych dzieci były równie prawdziwe, jak one same.

Jeszcze inne historie rozpały wyobraźnię Szlomka ze Szkoły Ludowej. Niemal na pamięć znał opowiadania Icchoka Lejba Pereca (patrona swojej szkoły), albo bajki Szolema Alejchema o skrzypkach czy scyzoryku. Ale też inne – dodawał z dumą bundowski dziennikarz – o amerykańskim socjaliście Eugene Victorze Debsie, który całe lata spędził w więzieniu za antywojenne wystąpienia, o rosyjskiej rewolucjonistce Wierze Figner, o Herszlu Lekercie, który próbował zgładzić wileńskiego generał-gubernatora, o Bejnieszu Michalewiczu i innych działaczach robotniczych. Bardzo popularne były wśród dzieci także bajki o cesarzach – złych, dobrych, miłosiernych albo srogich.

„Monarchowie wystawili sobie piękne świadectwo – komentował dziennikarz. – Z historii ich wygnano, a żyją wyłącznie w dziecięcych opowiastkach”.

Szczególnym uwielbieniem cieszyły się jednak eksytujące historie rodem z Dzikiego Zachodu.

„Oto pewien mały rudzielec – pisał dalej A Junger – opowiada o meksykańskim kowboju Kenie Maynardzie i jego koniu Tarzanie, który wiernie służył swojemu panu i pomagał mu we wszystkich trudach. Dzieci siedzą nadstawiając uszu i co rusz podskakują na co ciekawszych momentach, krzycząc: – O, ja cię! Ale bohater! Ale koń! [...] Najpiękniejszą z bajek – dodawał – są jednak one, te tysiąc dzieci z Lublina, które każdego dnia wypełniają zielony plac półkolonijny radością i szczęściem. Zapierająca dech w piersiach bajeczka opowiadana w odmętach lubelskiej biedy”.

„Radio” mówi

Codziennie przed południem na półkoloniach ukazywała się redagowana przez dzieci gazetka w języku żydowskim – „Undzer Radio”, czyli „Nasze Radio”. Po wspólnej gimnastyce starsze grupy zbierały się w szopie (tej samej, która służyła za jadalnię), skąd odczytywano do mikrofonów najnowszy numer „Radia”, puszczany następnie przez głośniki zainstalowane na placu. W ten sposób radiowęzeł przy Siennej dawał złudzenie prawdziwych audycji radiowych w jidysz, które na falach Polskiego Radia pojawiły się dopiero po II wojnie światowej. – „Halo, halo! – ogłaszał spiker czytający »Nowiny ze świata«. – Dzisiejsze wydania donoszą o wielkim odkryciu, którego dokonał ostatnio pewien naukowiec. Znalazł on bowiem rośliny, które mają własność przyciągania podobną do magnesu. Od redakcji: Dobrze by było, żeby każdy nauczyciel z półkolonii nabył taką roślinę, dzięki czemu miałby dzieci stale przy sobie. – „Tu mówi korespondent z Francji – nadawano dalej. – Dzień 14 lipca przebiegł spokojnie, francuskie masy ludowe wyśięgły walkę z faszyzmem. – W Niemczech stale zaostrzają się antysemickie wybryki. W Berlinie miał miejsce kolejny haniebny pogrom żydowski. – Pozdrowienia z odległych Chin. W wyniku powodzi w dolinie rzeki Jangcy Kiang zginęły setki tysięcy ludzi. – W wielu krajach trwają gorączkowe przygotowania do wojny. Wojna oznacza mordowanie ludzi. Dzieci z półkolonii nie chcą wojny”.

Oprócz wiadomości ze świata, „Radio” nadawało humorystyczną kronikę półkolonii, w której – jak w krzywym zwierciadle – odbijał się ten niepowtarzalny dziecięcy świat przy Siennej. – „Wczoraj w grupie pierwszej pewien chłopiec tak łapczywie zabrał się do jedzenia, że razem z zupą połknął łyżkę – relacjonował spiker. – Jak się dowiedzieliśmy, lubelscy szewcy zarządzili protest przeciwko TOZ-owi, ponieważ tracą przez niego zarobek. Dlaczego? Otóż chłopcy z trzeciej grupy chodzą na rękach. – Pies, który mieszka po drugiej stronie plotu nieopodal pierwszej i drugiej grupy zwrócił się



do »Radia« z prośbą: chciałby uprzejmie prosić, aby dzieci pozwoliły mu stać za płotem i słuchać bajek, które opowiadają. Nie uisłcił co prawda 3 zł na rzecz TOZ-u, ale dlaczego nie mógłby posłuchać bajek?”.

Kolonijna gazetka posiadała także szereg innych rubryk, między innymi „Odpowiedzi redakcji” oraz „Życzenia i pomysły”. – „Według naszych informacji poranna kawa była rozwodniona z powodu powodzi w Chinach. – Dlaczego zupa była wczoraj przypalona? – pytało któreś z dzieci – Prawdopodobnie ma to związek z wielkimi upałami, które w tym tygodniu nawiedziły Amerykę – odpowiadała redakcja. Albo: – Dziewczynka z dziewiątej grupy pyta, czy *przepraszam* to żydowskie słowo. Redakcja »Radia« odpowiada: *Przepraszamy*, dziewczynko, ale jesteś w błędzie. Po żydowsku mówi się *zaj mojchl*, musisz nauczyć się żydowskiego”.

Innym razem „Radio” życzyło dzieciom z siódmej grupy, żeby po zakończeniu półkolonii potrafiły powiedzieć zdanie po żydowsku składające się z 10 wyrazów, w którym 9 i pół wyrazu nie będzie po polsku. Rozważano także zasadzenie własnego lasu, żeby nigdy nie zabrakło jagód do pierogów, a także dyskutowano wniosek o utworzenie osobnej grupy o nazwie P.P., czyli podwójne porcje, do której uczęszczać miały osoby, dla których szklaneczka kawy i miska zupy to tylko „coś na ząb”. – „Powstał pomysł wspólnego nauczania się przez wszystkie dzieci szlagieru *Ja mam czas, ja poczekam* – ogłaszano z szopy przy

^[1] Afisz zapowiadający przedstawienie w Teatrze Miejskim na rzecz półkolonii TOZ [Archiwum Państwowe w Lublinie, zespół archiwalny 22 – Akta miasta Lublina 1918-1939, seria 7.4.5/Afiszse nadsyłane do rozplakatowania, sygn. 4155].

^[2] Rozenwajn (pierwszy od lewej) z grupą dziewcząt i chłopców z klubu Jutrznia-Morgensztern w 1930 r. [zbiory Judith Mayer].

Siennej. – Śpiewać będzie się zarówno podczas kąpieli, śniadania, obiadu oraz powrotu do domów”.

Przynajmniej jeden numer „Naszego Radia” ukazał się drukiem. 4 sierpnia 1935 roku, z okazji 10-lecia lubelskich półkolonii, gazetkę odbito w niemalym nakładzie 1500 egzemplarzy. Nie wiadomo, czy jakkolwiek zachował się do naszych czasów, ale cytowane powyżej fragmenty przedrukowane w „Lubliner Sztyme” pochodzą właśnie z 1935 roku. Pisemko o takiej samej nazwie tworzyły również dzieci z żydowskiego Sanatorium im. Włodzimierza Medema w Miedzeszynie pod Warszawą, ośrodku przeciwgruźliczego, rozślawionego przez fabularyzowany film Aleksandra Forda *Mir kumen on* (dosł. *Nadchodzimy*, w polskiej kinematografii znany pod tytułem *Droga młodych*) z 1936 roku. Podobnie jak w Sanatorium im. Medema, podczas lubelskich półkolonii dużą wagę przykładano do rozbudzania w dzieciach postaw obywatelskich, współpracy i przedsiębiorczości. Przy Siennej dzieci organizowały swój własny samorząd z szeregiem sekcji, działów i należnych im obowiązków. W swoim prasowo-radiowym organie samorząd umieszczał przykładowo ogłoszenia o rzeczach znalezionych lub zgubionych czy komunikaty z sekcji gazetek ściennych albo biblioteki, zarządzanej własnymi siłami przez podopiecznych TOZ-u. Próbowano także zacieśniać więzi z Polakami i zasypywać wzajemną nieufność. W sierpniu 1938 roku grupa polskich dzieci z kolonii miejskich na Bronowicach odwiedziła Sienną. Urządzono wspólne zabawy, przyjacielski turniej w dwa ognie, a kilka dni później delegacja z Siennej gościła na Bronowicach.

Lubelsey Korczakowie

W swoich wspomnieniach *Majn Lublin, bilder fun nem lebns-sztajger fun Jidn in farnilchomedikn Pojln*, w 1989 roku wydanych również w języku polskim, Róża Fiszman-Sznajdman zanotowała:

„Po likwidacji gimnazjum Szperowej zaktualizowało się moje przeniesienie do Gimnazjum Humanistycznego. I wtedy Chaim-Jankiel [Śpiewak] poprzez swojego brata, Fiszla, członka zarządu szkoły, pomógł mi uzyskać ulgę w opłacie czesnego. Tylko dzięki tej pomocy mogłam kontynuować naukę. Dalszą pokązną pomoc od Śpiewaków otrzymałam ostatniego lata przed wybuchem drugiej wojny światowej, gdy za ich pośrednictwem zdobyłam pracę na półkolonii.

Półkolonie letnie dla biednych dzieci w Lublinie organizowało Towarzystwo Ochrony Zdrowia (TOZ) wykorzystując na nie łąki Kalinowszczyzny. W najcięższych warunkach, pod gołym niebem, pracowali tam nauczyciele szkoły żydowskiej (Ciszo). Z pracy wakacyjnej nie mogli zrezygnować, ponieważ pensje mieli bardzo niskie, poza tym nigdy nie otrzymywali ich w ustalonym terminie, a nierzadko nawet w postaci weksli płatników gminy żydowskiej, dość często niewykupowanych przez dłużników.

W mojej sytuacji, kiedy innych możliwości zarobkowania nie mogłam oczekiwać, praca na kolonii była wielką pomocą. Chaim-Jankiel był spowinowacony z doktorem Herszenhornem,

»duszą« półkolonii. W ogóle doktor Herszenhorn był człowiekiem, który całe swoje życie poświęcił organizowaniu pomocy dla żydowskiej biedoty, zanie dbując swoją prywatną praktykę lekarską. Cały swój czas poświęcał pracy społecznej, szczególnie TOZ i półkolonii, gdzie latem przez trzy tygodnie najbiedniejsze dzieci mogły zjeść do syta. Śpiewakom udało się nakłonić doktora Herszenhorna, by mnie zatrudnił jako wychowawczynię grupy. Pracując trzy tygodnie na tej kolonii zarobiłam 75 złotych. Z tę sumą opuściłam w 1939 roku Lublin mojego dzieciństwa i młodości?» (R. Fiszman-Sznajdman, *Mój Lublin*, Lublin 1989).

Oprócz dr. Herszenhorna, dla którego „treścią życia było umiłowanie prostych ludzi” – jak głosi inskrypcja wyryta na jego nagrobku w Melbourne – w organizację półkolonii zaangażowany był cały szereg, często anonimowych, lekarzy, wychowawców, działaczy sportowych czy w końcu kucharzy i obsługi zaplecza technicznego. Wśród nich znajdowali się między innymi wspomniany dr Hersz Mandelbaum, dr Mieczysław Cukierfajn (sekretarz TOZ-u) czy dr Hersz Tenenbaum. O ostatnim w swoim wspomnieniu zanotował cytowany wcześniej Michał Wajsman.

„Nigdy o nim nie zapomnę – pisał w 2002 roku na łamach »Kol Lublin«. – Doktor Tenenbaum należał do ludzi nieco innego formatu niż Herszenhorn i nie angażował się w życie społeczno-polityczne. Był on jednak także prawdziwym lekarzem ludowym o wielkim żydowskim sercu. Do każdego chorego dziecka przyjeżdżał dorożką, zawsze z tym samym dorożkarzem Polakiem, który znał nas wszystkich i rozmawiał z nami po żydowsku. Wmawiał nam zresztą, że nawet jego koń rozumie jidysz... Doktor Tenenbaum nie budził w nas lęku. Rozmawiał z nami soczystym językiem żydowskiej ulicy, pamiętał wszystkie nasze imiona i zawsze się uśmiechał, nawet wtedy, kiedy naprawdę nie było do śmiechu... Osluchiwał nas, sprawdzał puls i zaglądał do gardła – tylko wtedy trochę się baliśmy. Wydaje mi się, że zawsze wypisywał taką samą i zawsze najtańszą receptę, która o dziwo za każdym razem pomagała. Pamiętam, że mówiło się, że Tenenbaum był niegdyś lekarzem wojskowym i służył w carskiej armii. Kiedy byłem dzieckiem, wyglądał w moich oczach na bardzo starego, a w rzeczywistości miał może z 50 lat”.

Każdego roku lubelskie półkolonie kończyły się wielką uroczystością z udziałem organizatorów i nauczycieli, sportowców z żydowskich klubów sportowych, orkiestr i chórów, a przede wszystkim podopiecznych TOZ-u i ich rodziców. „To był niezapomniany widok” – pisał Wajsman, a Josef Fraind wspominał:

Nauczyciel potwierdza dobre wieści, ale to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

A jednak, każde dziecko dostało po jajku. Jeden z chłopców krzyczy do nauczyciela:

– Proszę pana, proszę pana! Dwa lata temu, jak byłem w Nałęczowie, jadłem jajko.

Inny mówi:

– Byłoby szkoda, gdybym zbił.

Trzeci:

– Zaniósę je do domu i pokażę mamie.

Oczy wszystkich jaśnieją. Byszczą. Jest święto.

Chcecie wiedzieć, kim są te dzieci? To słuchajcie:

Nauczyciel pyta, czym zajmują się ich rodzice.

– Co robi twój tata?

– Nic...

– A twój?

– Sto! na targu.

– Twój?

– Sprzedaje wodę.

– Twój?

– Robi u inspektora.

– A Twój?

– Uciekł od mamy...

Wiecie, co znaczy „robić u inspektora”? W języku dorosłych oznacza to robotnika bez żadnego fachu, zatrudnionego przy robotach publicznych. A pod krótkim stwierdzeniem „uciekł od mamy” kryje się długa i tragiczna historia nędzy i biedy, samotności i beznadziei. Chłopiec opowiada ją nauczycielowi w prostych i niewyszukanych słowach. Są suche i twarde, jak jego życie. Ten 11-letni chłopiec musi już pracować. „Noszę walizki do samochodów. Czasem dostaję 20, a czasem 30 groszy”. Teraz, kiedy poznałście się już z „książętami półkolonii”, zacieka wi was pewnie trochę liczb. Oto krótka lista tego, co tysiąc sto dzieci zjadło na tegorocznych półkoloniach:



„Impreza przy zakończeniu tej kolonii to było coś pięknego! Tysiąc, tysiąc dwieście dzieci na polu, wszyscy razem robią przy dźwiękach orkiestry gimnastykę. A tym całym zespołem gimnastycznym kierował Rozenwajn, który z zawodu był krawcem, ale nie miał nigdy serca do siedzenia na krześle i szycia”.

„Dziś w telewizji – pisał Wajsman – oglądamy widowiskowe parady podczas olimpiad, niesamowite efekty świetlne i cuda techniki, tańce i przeróżne popisy do taktu pięknej muzyki, na które wydaje się miliony dolarów. W owych czasach nie było w Lublinie ani żadnej techniki, ani tym bardziej dolarów, ale na zakończenie półkolonii udawało się zorganizować naprawdę znakomitą uroczystość. Dla nas, dzieci, była to niesamowita frajda, a wszystko to było zasługą Rozenwajna”.

Dawid Rozenwajn, który w latach 30. miał 25, może 30 lat był jednym z najbardziej oddanych i zapalnych żydowskich działaczy sportowych w przedwojennym Lublinie. Nie miał w tym kierunku żadnego wykształcenia, nie był teoretykiem, ale razem z dziewczętami i chłopcami z klubu Jutrznia-Morgensztern całymi dniami trenował w Domu Żołnierza lub żydowskich szkołach, wiedział wszystko na temat ruchu sportowego i gdyby żył dzisiaj – wspominał Fraind – byłby zapewne światowej klasy działaczem sportowym. Kilka lat po II wojnie światowej Michał Wajsman niespodziewanie spotkał Rozenwajna we Wrocławiu. Wyglądał biednie, ubrany w wytarty mundur wojskowy. W armii przeżył wojnę, ale w 1948 roku był już zdemobilizowany, a mundur był jedynym, co posiadał. Okazało się, że mieszka z Niemką, żoną żołnierza Wehrmachtu i jej synami, którzy nie zostali jeszcze wysiedleni do Niemiec.

„Błagał mnie – pisał Wajsman – żebym mu jakoś pomógł, żeby ona i jej dzieci, może dwu-, trzyletni chłopcy o blond włosach, mogli dalej mieszkać z nim we Wrocławiu. Dawidzie, zagadnąłem go po żydowsku, pamiętasz dzieci z lubelskich półkolonii? Pamiętasz chłopaków ze Skifu albo z naszej szkoły i to, co zrobili im Niemcy? Odpowiedział: Jak mógłbym zapomnieć? Przecież to były moje dzieci... moi uczniowie... Ale czy chłopcy tej kobiety czymś zawinili? Mają cierpieć za grzechy swoich rodziców? Czy tego uczyliśmy cię w Szkole Ludowej w Lublinie?”.

Do 1939 roku przez półkolonie przeszło kilka tysięcy dziewczynek i chłopców z Lublina. Organizatorzy reprezentowali całe spektrum żydowskiej sceny politycznej, ale dla TOZ-u nie miało żadnego znaczenia czy rodzice dziecka byli z prawa czy z lewa, albo czy posyłali dzieci do świeckiej, polskiej lub religijnej szkoły. Była to do prawdy Rzeczpospolita Dzieci – jak pisano o półkoloniach w przedwojennej prasie – z własnym terytorium, samorządem i obywatelami. Większość z nich pochodziła z najuboższych i wykluczonych warstw, ale oprócz zaspokajania potrzeb podstawowych – jak posiłki czy chociażby kąpiel – dostawały szansę na coś znacznie ważniejszego: rozwój, a w przyszłości: na wyrwanie się z kleszczy bezlitosnego Podzamcza. Chociaż Krawiecka znikła z mapy miasta, także dzisiaj są w Lublinie ulice i osiedla, do których prawie nikt nie zagląda i z których mało kto się wydestaje. Bieda wymieciona z centrum i pochowana w bramach pozostaje biedą, zaś nędza lubelskich dzieci – nędzą całego miasta.

Piotr Nazaruk

¹ Mira Shuval z koleżankami jako opiekunki na półkoloniach TOZ w Lublinie [zbiory Miry Shuval].

Josef Hernhut

Śpiewamy!

Niedziela, 12 w południe. Plac przy Siennej wypełniony po brzegi. Przyszło całe miasto. To już tradycja. Jest ciasno, ludzie przepychają się tak bardzo, że ledwo poznają własne łokcie. Gwar jak w żydowskim teatrze, gdy każdy chce kupić najlepszy bilet i zająć najlepsze miejsce. Ale bez strachu! Nie dzieje się nic złego. Skąd więc ten ścisk i przepychanie? Skąd wzięło się tutaj tyle ludzi? Przeliczmy: tysiąc sto dzieci uczestniczy w tym roku w półkoloniach. Każde z nich przyprowadziło ze sobą dziesięć osób – dwa tysiące dwieście ojców i matek, cztery tysiące czterysta braciśzków i siostrzyczek (ostrożnie licząc), dwa tysiące ciotek (ze strony ojca i matki), tyle samo wujków (również z obu stron), do tego babcie, dziadkowie, krewni i sąsiedzi. Kiedy się ich wszystkich przeliczy i raz jeszcze spojrzy na plac, widać, że nie panuje tam wcale ścisk, ale niemal błogi spokój. Przy takiej liczbie ludzi powinno być znacznie, znacznie ciałniej.

Rozpoczyna się uroczystość. Gra orkiestra. Dzieci maszerują. Wokół zielonej flagi półkolonii stoi w okręgu tysiąc sto dzieci. Odbywa się apel. Po wielkim placu niesie się głos: „Śpiewamy! Śpiewamy! Śpiewamy!”.

Kiedy człowiek śpiewa? Kiedy jest mu dobrze na duszy, kiedy jest syty i szczęśliwy. „Książęta Krawieckiej” są właśnie w takim nastroju. Komu jest tak dobrze, jak im? Kto jest dziś tak samo szczęśliwy?

Dzisiaj rano, podczas ostatniego śniadania półkolonii, dzieciom rozdano jajka, każde dziecko dostało po jednym jako dodatek do zwykłej porcji. Żalujcie, że nie słyszeliście ich rozmów przed śniadaniem.

Jedno dziecko zapytało swojego nauczyciela:

– Proszę pana, on mówi, że dzisiaj dadzą każdemu dziecku jajko. Czy to prawda?

Ów „on” to inny chłopiec z tej samej grupy.

– Czy to prawda? Jajko dla każdego dziecka? Całe jajko? Każdy dostanie po jajku? Nie! To się nie mieści w głowie.

Ziemniaki – 1620 kg; marchewka – 1220 kg; bób – 392 kg; poziomki, gruszki, czereśnie i wiśnie – 1114 kg; grzyby – 520 kg; mąka – 524 kg; kasza – 760 kg; sól – 169 kg; fasola – 495 kg; ryż – 272 kg; cynamon – 1,5 kg; rodzyнки – 2,5 kg; chleb – 4494 kg; bułki – 1032 kg; masło – 306 kg; ser – 362 kg; cukier – 353 kg; kawa – 172 kg; mięso – 1094 kg; margaryna „Ceres” – 30 kg; jaja – 1845 sztuk; ogórki – 2010 sztuk; mleko – 3160 litrów; śmietana – 261 litrów; zupa – 365 litrów. W sumie: 14 500 kg, 3800 litrów i 4125 sztuk. Podobą się wam taka fabryka jedzenia?

Jeżeli macie fantazję i ochotę, spróbujcie wykonać takie oto działania: skoro dzieci zjadły aż tyle przy budźecie, którym dysponuje TOZ, ile mogłyby zjeść, gdyby TOZ miał nieco więcej pieniędzy? Te tysiące kilogramów można by mnożyć i mnożyć. Na półkoloniach dzieci jedzą dwa razy dziennie i jak na razie nie ma pieniędzy na więcej. Tymczasem to oczywiste, że – przynajmniej przez te pięć tygodni półkolonii – powinni każdego dnia dostawać cztery posiłki!

Ale jeżeli myślicie, że dzieci nie daj Boże się skarżą – jesteście w wielkim błędzie. Szkoda po prostu, że półkolonie trwają tak krótko. Pewien chłopiec tak wyraził to swojemu nauczycielowi:

– Chciałbym, żeby półkolonie trwały cały rok, a żebyśmy do szkoły chodzili tylko przez pięć tygodni.

Śpiew, gimnastyka, zabawa, radość. Uroczystość zakończenia półkolonii, która zgromadziła tak wielką publiczność oddaje tylko niewielką część tej szczególnej atmosfery, która panuje na placu przy Siennej każdego dnia. Radosny śpiew tysiąca stu dzieci to najlepsza pieśń pochwalna dla lubelskiego TOZ-u i jego oddanych działaczy, którzy w pracę na rzecz półkolonii wkładają społeczny idealizm i energię, niemal rodzicielską miłość i nieustraszenie dbają o dobro i zdrowie tych dzieci

Josefon [Josef Hernhut], „*Zingen mir!... Zingen mir!...*”. *Di zhus-fijering oif der halb-kolonie fun „toz”*, „Lubliner Sztyme”, nr 33, 19 sierpnia 1938, przeł. Piotr Nazaruk

ZAGADKA RYWKI BERGER

W Bramie Grodzkiej często zadajemy sobie pytanie:

jak wiele – ile tragedii, traum, ale też radosnych i wspaniałych chwil – może pomieścić ludzkie życie?

W przypadku Rywki Berger, artystki, nauczycielki

i bohaterki, pytanie brzmi inaczej: ile tajemnic i nieroz-

wiązanych zagadek zmieści się w jednym,

niespełna trzydziestoletnim życiu?

Kiedy pod koniec lutego 2019 roku otwieraliśmy w Galerii Teatru NN wystawę „Szkicownik Rywki Berger”, sygnalizowałam naszym gościom, że chociaż utkałam dla nich ze strzępków i białych plam jakąś wizję życiorysu tej tajemniczej artystki, wizja ta trzęsła się w posadach i lada moment gotowa była runąć. Jako pierwszy wyzwanie tej chwiejnej konstrukcji rzucił Adam Kopciowski z Zakładu Kultury i Historii Żydów UMCS, który jeszcze przed otwarciem wystawy na dokumentach wytworzonych w lubelskim getcie odnalazł nazwisko i – co istotne – datę, a właściwie daty urodzenia Rywki Berger. Jeśli byłoby prawdą, że przyszła drzeworytniczka urodziła się 20 czerwca 1911 lub 1913 roku, jak wynikało ze spisów byłych nauczycieli żydowskich zatrudnionych podczas wojny w Centosie (Centrali Towarzystw Opieki nad Sierotami), przekreślałoby to połowę jej śmiałego skreślonego życiorysu. Zamieszkała przy Jatecznej 36/Mostowej 7 Rebeka Berger, tak oficjalnie zanotowano jej personalia, nie mogłaby w semestrze 1913/1914 studiować w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych (jak kazały sądzić dokumenty ocalałe w archiwum warszawskiej ASP) i, jako kilkuletnia dziewczynka, nie dałaby rady w kwietniu 1918 roku debiutować na głośnej wówczas Wystawie Wiosennej w Łodzi.

Chociaż podczas wernisażu przypuszczaliśmy, że być może podczas wojny Berger odjęła ze swojej metryki kilkanaście lat (zdarzały się i takie przypadki), prawdziwa bomba wybuchła następnego dnia, kiedy ten sam Adam Kopciowski znalazł krótką wzmiankę o artystce w powojennym eseju Jakowa Głatsztejna. Ten wybitny poeta języka jidysz urodzony w 1896 roku w Lublinie, który po wyjeździe do Nowego Jorku w 1914 roku zrobił wielką karierę literacką, zanotował w latach 50.: „Zachował się u mnie 34-stronicowy tomik poezji Josefa Hernhuta, który został wydany w 1933 roku pod tytułem *In undzere teg* [*Za naszych dni*]. (...) Zeszycik został wydrukowany w drukarni „Rekord” Wajnbauma przy Noworybnej i kosztował 50 groszy, całe pół złotego. Drzeworyt na okładce wykonała Rywka Berger, moja bliska krewna, naziści zabili także i tę młodą artystkę” (J. Głatsztajn, *In toch genuimen*, esejen 1949–1959, t. II, Buenos Aires 1960, s. 187).

O ile było niemal pewne, że życiorys Rywki Berger krył w sobie wiele zagadek, nikt chyba nie spodziewał się aż takiej rewelacji. Jedno, nieznośnie krótkie i rzucone niemal mimochodem zdanie Głatsztejna dosłownie wywróciło spojrzenie na artystkę i jej życie do góry nogami. Dzięki tym ułomkom Adamowi Kopciowskiemu i Piotrowi Krotofilowi udało się powiązać rodziców Głatsztejna z rodziną Bergerów, a w szczególności z niejakim Janklem Bergerem (czy też Bergierem), mieszkańcem domu przy Jatecznej 36/Mostowej 7 (gdzie podczas wojny, jak wspominałem wyżej, mieszkała również Rywka Berger) i jednocześnie domniemanym ojcem artystki. Jak wynika z aktów metrykalnych, od 1902 roku żoną Bergera, krawca urodzonego w 1873 roku w Łęcznej, była niejaką Sura Łaja z domu Głatsztajn, córka Wolfa Głatsztejna, stryja poety Jakowa Głatsztejna. Chociaż zagadka bliskiego pokrewieństwa Rywki Berger z Jakowem Głatsztajnem wydawała się rozwiązana, okazało się, że więzy rodzinne artystki i poety nie kończyły się wcale na braciach Wolfie i Icku Głatsztajnach. Matką Sury Łai Berger (matki artystki) była bowiem niejaką Bina Pesa z domu Jungman, siostra Abrama Bera Jungmana, ojca matki poety, Ity Rywki z domu Jungman. Mimo że cały ten rodzinny galimatias wydaje się na pierwszy rzut oka nie do objęcia, między Berger a Głatsztajnem zachodziło dosyć typowe w tamtych czasach pokrewieństwo wynikające z pobierania się całymi rodzinami (dzieci jednej rodziny wychodziły za dzieci drugiej). W tym konkretnym przypadku owocem tych zabiegów było to, że artystka i poeta mieli parę wspólnych pradziadków, ponadto dziadkowie Głatsztejna ze strony jego ojca byli jednocześnie pradziadkami Berger. Rozrywaną powyżej i poniżej teoria o związkach rodzinnych artystki wydaje się bardzo prawdopodobna, ale, niestety, wciąż czeka na ostateczny dowód. Mimo wysiłków jak na razie nie udało się bowiem odnaleźć aktu urodzenia artystki, który potwierdziłby spekulacje o jej pochodzeniu – stosowny dokument nie został prawdopodobnie sporządzony przy jej narodzinach (co ciekawe, nie dotyczyło to jej braci) i ciągle pozostaje nieodkryty.

Kolejną zagadką w życiorysie Rywki Berger są jej studia artystyczne w Krakowie. Według prof. Jerzego Malinowskiego, młoda Berger uczęszczała do lubelskiej filii krakowskiej Wolnej Szkoły Malarstwa i Rysunku Ludwika Mehofferowej (bratowej Józefa Mehoffera), jednak Maks Geler, autor chyba jedynego przedwojennego artykułu dotyczącego jej życia i twórczości, dość enigmatycznie stwierdza, że Berger była wychowanką samego Józefa Mehoffera na krakowskiej ASP. Niemal „krakowskim targiem” obie te wersje połączył Józef Sandel, zmarły w 1962 roku historyk sztuki, który – jak się zdaje – znał artystkę osobiście lub z relacji jej znajomych. Według Sandla Berger rzeczywiście uczęszczała do lubelskiej filii szkoły Mehofferowej, po czym krótko studiowała na krakowskiej ASP (kto wie, może rzeczywiście pod kierunkiem Mehoffera), przerwała jednak naukę ze względu na utrzymanie posady nauczycielki rysunku w Szkole Ludowej im. I.L. Pereca w Lublinie. I te informacje pozostają jednak póki co niepotwierdzone – w archiwum krakowskiej ASP nie odnaleziono jak na razie żadnych dokumentów potwierdzających jej pobyt w Krakowie.



Znane i zachowane na łamach żydowskiej i polskiej prasy prace artystki pochodzą z lat 30. (a przynajmniej wtedy się ukazywały), czyli z okresu, kiedy Berger prawdopodobnie wróciła już do rodzinnego miasta. Pierwszą (co nie znaczy, że najwcześniejszą) z nich – drzeworyt przedstawiający Bramę Zastraną w Lublinie – opublikowano 21 lipca 1933 roku na łamach warszawskiej gazety „Wochnschrift far Literatur, Kunst un Kultur” [Tygodnik Poświęcony Literaturze, Sztuce i Kulturze], kiedy artystka miała zaledwie dwadzieścia lub dwadzieścia dwa lata. O tej dziedzinie twórczości Berger, w której starała się wyspecjalizować właśnie w latach 30., tak pisał Sandel:

„Najlepiej wyrażała się w technice drzeworytu, w czerni i bieli. Z tych na pierwszy rzut oka zimnych kolorów Rywka Berger wydobyła tysiące nastrojów, całą gamę uczuć. Jej drzeworyty przedstawiały dynamiczne sceny. Jeden z nich, który nosi tytuł »Autodafe«, był aluzją do spalenia w Niemczech w maju 1933 roku humanistycznych dzieł niemieckiej literatury napisanych przez Żydów. [...] Wszystkie jej prace powstawały jako wyraz chęci włączenia widza w walkę z faszyzmem. Drzeworyty Rywki Berger były żywe, czytelne. Całkiem wyraźnie charakteryzowały ówczesne napięte stosunki polityczne w kraju i za granicą”.

(J. Sandel, *Umgekumene jidische kinstler in Pojln*, t. I, Warszawa 1957, s. 72–73).

W sumie udało się odszukać dziewiętnaście drzewo- i linorytów Rywki Berger rozrzuconych po lewicowych „Wochnschrift” i „Robotniku”, syjonistycznych „Opiniach” i „Lekturze” aż po sensacyjny tabloid „Unzer Express” [Nasz Ekspres]. Wydaje się więcej niż prawdopodobne, że kolejne czekają na odkrycie schowane na stronach przedwojennych czasopism.

Zagadkowe jest również życie prywatne Rywki Berger, panny obracającej się prawdopodobnie w kręgach młodych bundowców ze wspomnianym Josefem Hernhutem na czele, dla którego stworzyła okładkę jego rewolucyjnego tomiku (jeśli łączyło ich coś więcej niż przyjaźń, związek nie przetrwał, w drugiej połowie lat 30. Hernhut ożenił się z niejaką Fajgą Zajdenwerg). Do niedawna niemal tyle samo wiedzieliśmy o jej pracy w postępowej Szkole Ludowej im. I.L. Pereca w Lublinie prowadzonej przez Centralną Żydowską Organizację Szkolną CISzO. W księdze pamięci nauczycieli szkół skupionych w tej organizacji z 1952 roku przy nazwisku Berger nie umieszczono imienia, lat życia ani żadnych szczegółów poza prostym odnotowaniem, że rzeczywiście tam pracowała. Nieco światła na Berger jako nauczycielkę rzucił jednak Sandel, który pisał:

„unwielbiała swoją pracę i dzieci [z owej szkoły], zachwycala się prymitywnymi dziecięcymi rysunkami i sądziła, że w niejednym z tych dzieci kryje się talent. Marzyła, że w przyszłości z części z nich wyrosną artyści. Często wspominała swoje własne dziecięce lata, swoje pierwsze kroki. Miała nadzieję, że przyszłość będzie inna, wierzyła w walkę mas, w osiągnięcia klasy robotniczej i w lepszą przyszłość dla tych dzieci”.

(Sandel, s. 72).

Ten sam autor zanotował: „latem 1936 roku Rywka Berger wyjechała na odpoczynek do Zakopanego. Zetknęła się tam z góralami i zaczęła tworzyć coś w rodzaju plastycznego reportażu ukazującego życie ludzi w górach w całym jego realizmie. Nie znaczy to, że była w tej dziedzinie odkrywcza, jednak obrazki, które wówczas stworzyła, wykonane były

z dużym zrozumieniem i bardzo poruszające” (Sandel, s. 73). Prace „zakopiańskie” to kolejna z zagadek Rywki Berger, podobnie jak cała nieznana nam, wręcz widmowa część twórczości tej artystki. Chociaż wiemy, że oprócz drzeworytów malowała również obrazy olejne, a według Gelera najbardziej charakterystyczne miały być dla niej niewielkie formy tuszem i ołówkiem – żadna z tych prac nie została jak dotąd odnaleziona i, kto wie, być może pozostanie tak już na zawsze. Wspomniany Geler w ten sposób pisał o tej części twórczości Rywki Berger:

„W połamanych, zgarbionych domkach na starych i ciasnych bocznych uliczkach Lublina czuje się nie tylko wprawną rękę rysowniczką i biegle oko obserwatorki, ale przede wszystkim romantyczny i artystyczny zmysł, który przenika ze szczególnym umiłowaniem ten specyficzny styl starych domów i charakterystyczną estetykę architektoniczną. Wszystkie te narysowane przez nią uliczki i zaułki, powykrzywiane domki z ich charakterystycznymi facjatkami i balkonami, nieliczne stare gmachy ze specyficznymi ukształtowanymi odrzwiami i oknami, interesujące pod względem stylu przyszkółki i cmentarze uchwycone z różnych punktów widzenia – to wszystko w tle albo uliczki, albo na stronie bulwarku pełnego wysuszonych gałęzi... Jest w tym jakiś swojski, romantyczny urok, przy którym rosną serce i dusza. Rywka Berger doskonale zna te stare, pokurczone domki w ciasno poskręcanych uliczkach – jest dzieckiem proletariatusy, w takich miejscach się urodziła i wychowała. Swoje najpiękniejsze lata dzieciństwa spędziła właśnie w nich, a jej wrażliwa dusza nasiąkła ich liryczno-romantycznym czarem”

(M. Geler, *Riwke Berger*, „Wochnschrift far Literatur, Kunst un Kultur” nr 44, 17 XI 1933).

Zagadką są szczegóły śmierci artystki. Zginęła w Lublinie lub w Bełżcu, prawdopodobnie na wczesnym etapie likwidacji lubelskiego getta mając niespełna trzydzieści lat. Pytaniem pozostaje także, kim była jej imienniczka, owa, zapewne związana z łódzką grupą Jung Jidysz, artystka nieco starszego pokolenia, która chyba rzeczywiście istniała i raczej nie miała żadnych związków z Lublinem. Jedną z największych tajemnic Rywki Berger pozostaje jednak jej wygląd. Chociaż zachowało się kilka fotografii wychowanek i pracowników Szkoły Ludowej im. I.L. Pereca w Lublinie, pod żadną nie spisano personaliów sportretowanych na nich osób. To niemal oczywiste, że na którejś z nich, w tłumie uczniów i innych nauczycieli znajduje się Rywka Berger – może uśmiechnięta albo zamyślona, odwrócona bokiem lub obejmująca kogoś z dzieci, a przy tym – tego możemy być pewni niezwykle zagadkowa.

Piotr Nazaruk



Pod koniec maja 2019 roku dzięki Piotrowi Krotofilowi udało się rozkwiknąć przynajmniej kilka z zagadek Rywki Berger – w tym przede wszystkim datę jej urodzenia. Chociaż wspominałem wyżej dokumenty z Judenratu kazały sądzić, że Berger przyszła na świat w 1911 lub 1913 r., długo nie udawało się znaleźć stosownego aktu metrykalnego, który został sporządzony dopiero w 1919 r., osiem lat po jej narodzinach. Ostatecznie rozwiało to wersję o jej wcześniejszym, późno XIX-wiecznym urodzeniu i potwierdziło przypuszczenia co do miejsca jej narodzin i zamieszkania oraz bliskiego pokrewieństwa z rodziną Głatsztajnow. Co ciekawe, akt urodzenia niespodziewanie odsłonił także drugie imię przyszłej artystki, piękne i zaskakująco dobrze do niej pasujące, którego z jakiegoś powodu Rywka Berger nie używała.

„Działo się w mieście Lublinie dnia osiemnastego września tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku o godzinie trzeciej po południu – czytamy. – Stawił się starozakonny Jankiel Bergier, ojciec, szewc, lat czterdzieści trzy liczący, mieszkaniec miasta Łęczny, powiatu Lubartowskiego gubernji Lubelskiej, w obecności świadków Icka Majera Horowicza, nauczyciela, lat czterdzieści siedem i Berka Tuchmana, właściciela domu, lat pięćdziesiąt siedem liczących, w Lublinie zamieszkałych i okazał nam dziewczynkę urodzoną w Lublinie przy ulicy Jatecznej w domu pod numerem dwudziestym ósmym, dnia dwudziestego czerwca roku tysiąc dziewięćset jedenastego o godzinie dziewiętej rano z niego i małżonki jego Sury Łai Bergier z domu Głatsztajn lat czterdzieści liczącej. Dziewczynce tej nadano imiona Rebeka Czarna. Opóźnienia w meldowaniu nie usprawiedliwiono. Akt niniejszy obecnym odczytany i przez nich oprócz ojca niepiśmiennego i przez nas podpisany został” (Akt urodzenia Rebeki Czarnej Bergier, APL, Akta stanu cywilnego Okręgu Bożniczego w Lublinie, sygn. 289, s. 572, a. 1416).

Prace Rywki Berger ukazały się w czasopiśmie „Wochnschrift far Literatur, Kunst un Kultur”.

1 Rywka Berger, *Mir brechen di ajzerne want* (*Lamiemy żelazny mur*) [zbiory Żydowskiego Instytutu Historycznego].

2 Rywka Berger, *A winkl fun lubliner geto, hinter-szlos* (*Zaułek lubelskiej dzielnic żydowskiej, Podzamcze*) [zbiory Żydowskiego Instytutu Historycznego].



PODZAMCZE ROK 1942/1943

ZAGŁADA, SZABER I WIELKA PUSTKA

WYBURZENIE DZIELNICY ŻYDOWSKIEJ NA PODZAMCZU BYŁO KOŃCOWYM ETAPEM LIKWIDACJI GETTA LUBELSKIEGO. NISZCZENIE ZABUDOWY ROZPOCZĘTO KILKA MIESIĘCY PO WYWIEZIENIU MIESZKAŃCÓW GETTA DO OBOZU ZAGŁADY W BEŁŻCU. PLANOWANO W TEN SPOSÓB ZATRZEĆ WSZELKI ŚLAD PO ISTNIEJĄCEJ W TYM MIEJSCU OD KILKUSET LAT ŻYDOWSKIEJ SPOŁECZNOŚCI LUBLINA.

Wychodzący w Lublinie okupacyjny „Nowy Głos Lubelski” z nieukrywaną radością informował: „Z chwilą uwolnienia Lublina od plagi żydowskiej przystąpiły miarodajne władze niezwłocznie do sporządzenia ewidencji wszystkich wolnych mieszkań i do zbadania ich stanu używalności, aby jak najprędzej zlikwidować istniejący w Lublinie głód mieszkaniowy”.

KRADLI WSZYSTKO, UBRANIA, POŚCIEL, MEBLE, KAFLE, PRZEWODY ELEKTRYCZNE

W rzeczywistości, zaraz po wywiezieniu mieszkańców getta do obozu zagłady, powszechnym zjawiskiem było szabrowanie opustoszałej dzielnicy żydowskiej. Proceder ten, prowadzony przez Polaków, rozpoczął się wkrótce po likwidacji getta. Szaber nie był tolerowany przez władze okupacyjne, dlatego na teren dawnej dzielnicy żydowskiej zapuszczano się zazwyczaj nocą. Zatrzymani podczas rabunku wyrokiem sądu byli skazywani na śmierć. Informacje o takich przypadkach ukazywały się na łamach lokalnej prasy. Nie zniechęcało to jed-

nak osób liczących na znalezienie domniemanych bogactw po zamordowanych Żydach. Rabowano przy tym wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość: ubrania, pościel, meble, a nawet elementy wyposażenia budynku. „Jak wyprowadzono Żydów z getta to jeszcze te budynki stały, no i wtedy był szaber. Polacy... mówi się, że Polacy nie brali... kradli, wszystko kradli. Kafle, przewody ołowiane, elektryczne, co się dało. Wszystko było. Wpadała taka wataha do tych budynków i tam, co było, to to wszystko szabrowali. (...) Pamiętam, jak kafle wynosili, wywozili wózkami takimi dziecięcymi... rabowali, co się dało”. Prymitywne metody poszukiwań doprowadzały często do niekontrolowanego zawalenia się budynków.

Zorganizowane wyburzenie dzielnicy żydowskiej na Podzamczu rozpoczęło latem 1942 roku. Na polecenie niemieckich władz cywilnych Zarząd Miejski w Lublinie przygotował szczegółowy wykaz budynków przeznaczonych do rozbioru. W wykazie wymieniono adresy przy następujących ulicach na terenie dawnej dzielnicy żydowskiej: Błotniki, Bonifraterska, Ciasna, Czwartek, Cyrulicza, Furmańska, Jateczna, Kalinowszczyzna, Kowska, Krawiecka, Krzywa, Lubartowska, Mostowa, Nadstawna, plac Krawiecki, Podzamcze, Ruska, Sienna, Szeroka, św. Mikołaja, Wąska, Wysoka, Zakręt i Zamkowa. Należy zaznaczyć, że niektóre budynki, znajdujące się przy wymienionych ulicach, nie zostały wówczas objęte nakazem rozbioru.

Do wyburzania zabudowy getta wykorzystywano specjalne grupy robocze utworzone z więźniów żydowskich. Ich zadaniem, oprócz rozbierania budynków, było wyszukiwanie wszelkich wartościowych przedmiotów, a także zbieranie innych materiałów, które nadawały się do przetworzenia lub ponownego wykorzystania. Praca przy wyburzaniu była niebezpieczna, zdarzały się częste wypadki zawalenia się budynku na robotników.



WYBURZANIE SYNAGOGI. OBSERWOWALIŚMY TO Z CZWARTKOWEGO WZGÓRZA

W wyniku planowych wyburzeń została zniszczona większość zabudowy dzielnicy żydowskiej na Podzamczu. Całkowicie przestały istnieć ulice: Szeroka, Zamkowa, Krawiecka, Podzamcze, plac Krawiecki, Jateczna, Mostowa i Błotniki. Częściowo przetrwała zabudowa przy ulicach: Kowskiej, Cyruliczej, Furmańskiej i Targowej, a także, choć w mniejszym stopniu, przy Nadstawnej, Ruskiej i św. Mikołaja. W najlepszym stanie zachowały się budynki przy ulicy Lubartowskiej, stanowiącej zachodnią granicę getta. Umieszczono tam później polskie rodziny, wysiedlone z Majdanu Tatarskiego i innych dzielnic Lublina.

Podczas wyburzania dzielnicy żydowskiej rozebrano także Wielką Synagogę przy ulicy Jatecznej – najstarszą i najważniejszą synagogę w historycznej dzielnicy żydowskiej na Podzamczu. W czasie okupacji budynek zamieniono na magazyn i przytułek dla wysiedlonych osób. Mieściła się tutaj kuchnia, wydająca posiłki najuboższym mieszkańcom getta. W czasie likwidacji getta na Podzamczu, w marcu i kwietniu 1942 roku, synagoga była wykorzystywana jako punkt zborny i miejsce selekcji dla osób, z których formowano transporty do obozu zagłady w Bełżcu. Każdej nocy gromadzono tu około 1500 osób, które następnie pędzono przez

Kalinowszczyznę na rampę za rzeźnią miejską, skąd odchodziły pociągi do Bełżca. Po likwidacji getta budynek synagogi, podobnie jak większość obiektów na Podzamczu, został rozebrany. Relikty południowej ściany dotrwały do 1944 roku, ale i one zostały usunięte, już w okresie powojennym, razem z innymi pozostałościami dawnej dzielnicy żydowskiej.

Świadkiem zburzenia synagogi w czasie wojny był Bogdan Stanisław Pazur, jeden z polskich mieszkańców dawnej dzielnicy żydowskiej na Podzamczu: „Pamiętam, jak Niemcy wyburzali dużą synagogę. Obserwowaliśmy to z czwartkowego wzgórza. Wsadzali mury synagogi dynamitem. To się odbyło jednego dnia. Rano trąbka, założyli ładunki wybuchowe, trąbka zagrała, wojsko się usunęło. Jeden, drugi, trzeci wybuch, kupka gruzu”.

Marcin Federowicz

- 1 Ruiny dzielnicy żydowskiej na Podzamczu, widok od ul. Furmańskiej w kierunku Wielkiej Synagogi, 1943 r., fot. autor nieznany [kolekcja Marka Gromaszką].
- 2 Ruiny budynków przy ul. Nadstawnej i Szerokiej, widok w kierunku Zamku, 1943 r., fot. autor nieznany [kolekcja Marka Gromaszką].
- 3 Kamienice Szeroka 2 i Szeroka 4 oraz Zamkowa 2, widok od Bramy Grodzkiej, 1942 r., fot. autor nieznany [kolekcja Marka Gromaszką].
- 4 Ul. Szeroka od skrzyżowania z ul. Jateczną, widok w kierunku Starego Miasta, 1943 r., fot. autor nieznany [kolekcja Symchy Wajsa].
- 5 Ul. Szeroka u zbiegu z ul. Kowską, 1942 r., fot. autor nieznany [kolekcja Marka Gromaszką].
- 6 Ul. Szeroka przy skrzyżowaniu z ul. Podzamcze, 1943 r., fot. autor nieznany [kolekcja Symchy Wajsa].

3



4

9



5



6



7



7 Ul. Jateczna, po prawej widoczny fragment Wielkiej Synagogi, 1943 r., fot. autor nieznany [kolekcja Marka Gromaszka].

PODZAMCZE ROK 1954



Ze wzgórza zamkowego całe to niedawne gruzowisko zaczynało przypominać miasto. Ludzie gapili się. Brygady ZMP pracowały ochoczo – tak prace budowlane w okolicach Zamku odnotował w 1954 r. ówczesny wiceminister kultury i sztuki Włodzimierz Sokorski.

Decyzja o budowie placu Zamkowego została podjęta 13 stycznia 1954 r. przez Radę Ministrów PRL podczas posiedzenia, na którym zdecydowano o zorganizowaniu w Lublinie obchodów X-lecia PKWN. Chodziło o stworzenie odpowiedniej oprawy dla uroczystości, dlatego postanowiono przede wszystkim przeprowadzić renowację Starego Miasta, zaadaptować Zamek na cele kulturalne oraz zorganizować centralną wystawę rolniczą.

Prace budowlane podjęte w 1954 r. objęły także budynek Zamku Lubelskiego, który z dawnego więzienia zamieniono na siedzibę Miejskiego Domu Kultury. Wzgórze zamkowe przetrasowano, a do wejścia na Zamek poprowadzono monumentalne schody, których pomysłodawcą był Bolesław Bierut. Główny podest schodów znajdował się dokładnie w miejscu dawnej więziennej bramy.

Plac Zebrań Ludowych przekazano do użytku 1 maja 1954 r., natomiast część zespołu domów mieszkalnych ZOR „Podzamcze” – 21 lipca. W tym samym dniu otwarto wystawę rolniczą. W pobliżu Zamku powstały drewniane hale wystawowe, później w pobliżu jednej z nich rozpoczął działalność dworzec autobusowy. W 1957 r. do muzeum na Zamku zawitali pierwsi zwiedzający. Odnowiony plac, który wkrótce zyskał określenie „lubelskiego Mariensztatu”, w następnych latach ulegał kolejnym przeobrażeniom. W latach 50. XX wieku na placu planowano postawić popiersie Stalina, później pomnik wdzięczności Armii Radzieckiej. Do realizacji tych zamierzeń nie doszło.

Tekst jest fragmentem eseju Joanny Zętar *Narracje (nie)pamięci: Plac Zamkowy. Topografia palimpsestu* opublikowanego na Blogu Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”.

TAK POWSTAWAŁ LUBELSKI MARIENSZTAT





Fotografie dokumentują prowadzone od kwietnia 1954 r. prace budowlane w obrębie placu Zebrań Ludowych (dzisiejszego placu Zamkowego) oraz otwarcie placu i Centralnej Wystawy Rolniczej w lipcu 1954 roku. Wydarzenia zostały zorganizowane z okazji obchodów X-lecia PKWN.

Autorem wszystkich zdjęć jest Edward Hartwig. Materiały pochodzą ze zbiorów Ewy Hartwig-Fijałkowskiej i znajdują się w depozycie w Pracowni Ikonografii Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” w Lublinie.

Więcej zdjęć na stronie projektu „Lublin. Opowieść o mieście” dostępnej pod adresem: <https://teatrnn.pl/opowiesci/lublin-opowiesc-o-miescie/>

Drukarnia hebrajska w Lublinie

DLA NARODU KSIĘGI BYŁA TO PRACA ŚWIĘTA

Nasza opowieść o historii słowa drukowanego w Lublinie rozpoczyna się na Wzgórzu Zamkowym tuż obok tzw. Baszty Żydowskiej. Na dole Wzgórza, tu gdzie teraz widzimy trasę szybkiego ruchu (Aleje Tysiąclecia), znajdowała się kiedyś ulica Jateczna (zwana wcześniej Żydowską), a na niej najstarsza lubelska drukarnia – drukarnia żydowska. Drukarnia mieściła się niedaleko jesiwy i bożnicy znajdującej się na tej ulicy.

Drukowanie ksiąg uważano w społeczności żydowskiej za pracę świętą. Niektórzy rabini porównywali nawet prasę drukarską do ołtarza. Drukowanie nazywali „pisanem na wiele piór” i widzieli w nim działalnie służące krzewieniu słowa Bożego.

W kulturze żydowskiej książkę zawsze otaczano wielkim szacunkiem. Przez całe wieki Żydów nazywano narodem Księgi. Kult książki wśród nich był w dużej mierze konsekwencją czci okazywanej samemu piśmu, alfabetowi hebrajskiemu, w którym została napisana Księga Ksiąg – Tora. Drukarnia żydowska została założona w roku 1547, czyli na kilkadziesiąt lat przed powstaniem w Lublinie pierwszej drukarni polskiej (w 1630 roku).

Magdalena Bendowska: [W tym czasie] zakończyła już działalność [w Krakowie] pierwsza w Rzeczypospolitej żydowska drukarnia braci Haliczów tłocząca książki po hebrajsku i w jidysz w latach 1534–1541. Lubelska oficyna, działająca od 1547 roku, była więc drugą w historii drukarnią żydowską założoną na ziemiach polskich i w momencie rozpoczęcia działalności jedyną. [...] Po zamknięciu drukarni Haliczów przez kilka lat polscy Żydzi nie mieli możliwości zamawiania u siebie w kraju potrzebnych im dzieł czy modlitewników ani wydawania swoich utworów. Zmuszeni byli sprowadzać książki z zagranicy, przede wszystkim z Włoch.

Szalom Szachna, powołany na rabina w Lublinie w 1530 r., który potrzebował książek dla uczniów swojej jesiwy, sprowadził do miasta drukarza Chaima Szachora i jego rodzinę. W ten sposób Lublin stał się ważnym, drugim po Krakowie, ośrodkiem typografii żydowskiej w Rzeczypospolitej i przez niemal 150 lat zapatrywał w książki polskich Żydów.

Krzysztof Pilarczyk: Usytuowanie w Lublinie drukarni żydowskiej nie było przypadkowe. Miała ona w tym mieście szansę utrzymania się, a przepływ Żydów przez miasto, w którym zaczynał się rozwijać intensywnie handel (w 1540 r. dla wygody cudzoziemskich kupców żydowskich założono słynny sąd jarmarczny) i funkcjonowały żydowskie i królewskie instytucje, zapewniał zbyt tłoczonym tu księgom żydowskim.

Dla badacza historii drukarstwa szczególnie interesujący i warty podkreślenia jest fakt, że pierwsza żydowska oficyna drukarska w Lublinie zaczęła działać aż 83 lata wcześniej niż pierwsza drukarnia polska w tym mieście.

Magdalena Bendowska: Pod tym względem Lublin jest ewenementem na skalę europejską, pokazującym, że rozwój drukarstwa hebrajskiego mógł wyprzedzać pojawienie się pierwszych ksiąg tłoczonych czcionką łacińską. Podobna sytuacja w chrześcijańskiej Europie miała miejsce jedynie w Portugalii. [...]

W Lublinie pierwsza znana książka w języku polskim – dzieło jezuity Jeremiasza Drexeliusa *Stonecznik albo porównanie woli ludzkiej z wolą bożą* – wyszła spod pras drukarskich Pawła Konrada w 1630 roku. Natomiast hebrajski modlitewnik *Szomrim la-boker* (*Strażnicy świtu*) ukazał się już w 1547 roku. Drukarze żydowscy torowali więc drogę drukarzom chrześcijańskim, tworząc konieczną infrastrukturę niezbędną do rozwoju tego rzemiosła, a przy tym korzystali z miejscowej chrześcijańskiej papierni.

Drukarnia stała się znana w całej Europie, a jednym z jej największych dokonań była edycja tzw. *Talmudu Babilońskiego*. W roku 1559 ukazał się jego pierwszy traktat – Szewuot. Druk pozostałych traktatów trwał ponad osiemnaście lat. Drukowany w Lublinie *Talmud Babiloński* był też pierwszą edycją *Talmudu* drukowanego w Rzeczpospolitej. (...)

Pozostałością po czasach świetności drukarni żydowskich w Lublinie były między innymi stare księgozbiory. W książce Majera Bałabana *Żydowskie miasto w Lublinie* znajdujemy opis księgozbiorów, które autor zobaczył w roku 1917 w czasie swojego pobytu w Lublinie:

W lubelskich synagogach i kłojzach znajdują się bogate biblioteki, ale są one z reguły zaniedbane i zdekompletowane. Nigdzie nie ma katalogu z prawdziwego zdarzenia. Droгоценne szafy chroni zwykle tylko kartka z wypisaną klątwą zagrażającą ewentualnemu złodziejowi. Gdyby ta kartka mogła mówić, opowiedziałaby o iluż skradzionych księgach, które z Lublina powędrowały za Zachód i są tam teraz chlubą tamtejszych bibliotek.

Samuel Leib Schneiderman: Zapomniane i pokryte kurzem stoją pozostałości starodawnych drukarni, przed setkami lat za zezwoleniem polskich królów zakładanych. [...] Spod drewnianych, gutenbergowskich pras wychodziły najpiękniejsze modlitewniki, księgi rabiniczne i chasydzkie, wykonywane przez zecerów – artystów w skąpym świetle małych okienek lub kopającej lampki oliwnej. [...] W niskich, ciasnych sklepikach wzdłuż ulicy Żydowskiej i Krawieckiej zakupywali przybyśże znane lubelskie wydania *Talmudu* [...]. Weześnie rozkwitła w Lublinie żydowska sztuka drukarska. Dziś pozostały po niej ledwo dostrzegalne ślady. Te same modlitewniki według starych lubelskich wzorów drukuje się dziś w Warszawie na automatycznych maszynach i sprzedaje na wagę – dziesiątki, setki kilo.

Ostatnie starodawne drukarnie lubelskie stoją zapomniane i pokryte kurzem. Na drewnianych półkach leżą jeszcze szerokie, najrozmaitszym szryftem przemysłnie złożone kolumny świętych ksiąg. Potomkowie małomiasteczkowych rabinów z okolic Lublina oddawali je do druku, zostawiając zadatek wraz z rękopisami. Zdarza się czasem, że wzbogacony wnuk któregoś z tych rabinów przybywa z Londynu czy Nowego Jorku i każe wykończyć książkę swego dziadka. Kilku starych zecerów staje wtedy nad niepomiernie wielkimi kasztami. Od świtu do późnej nocy składają suche komentarze, półokrągłymi wierszami, gęstym maczkiem spisane na dużych, pożółkłych arkuszach.

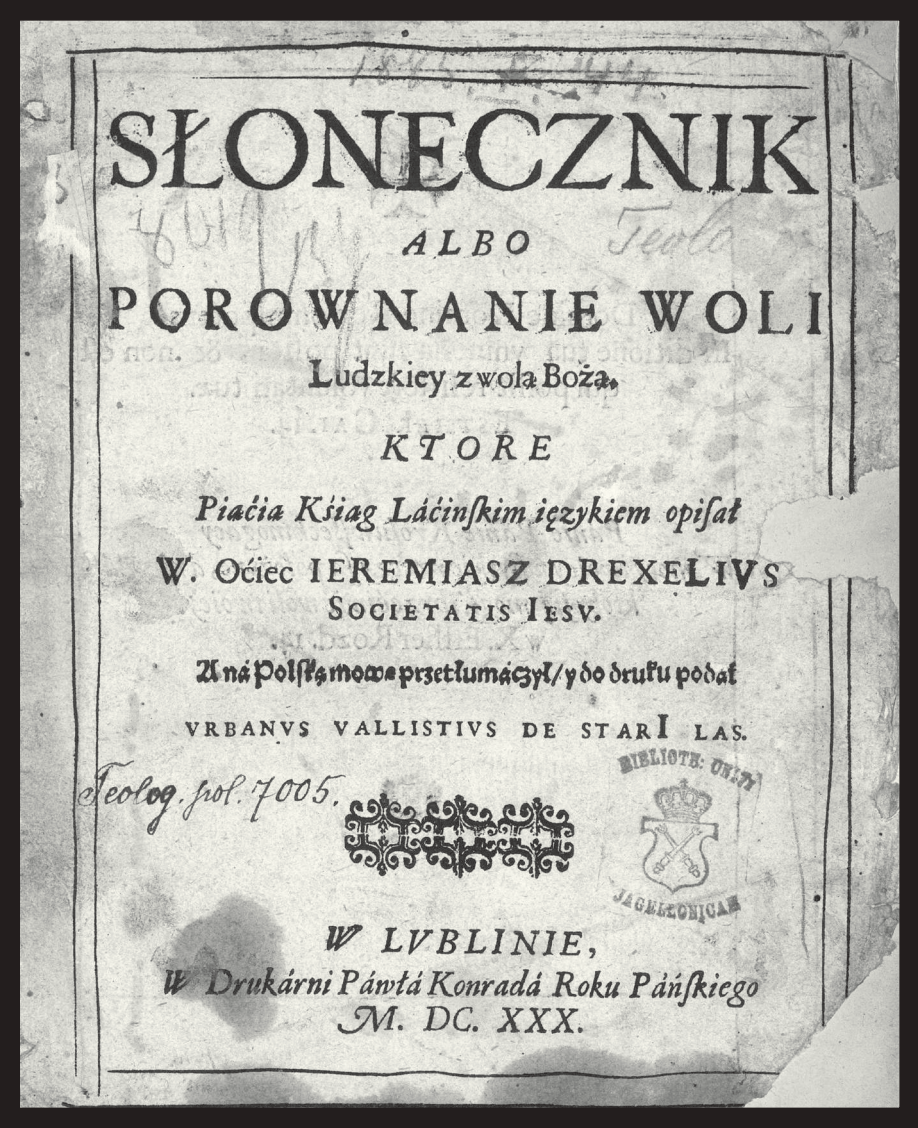
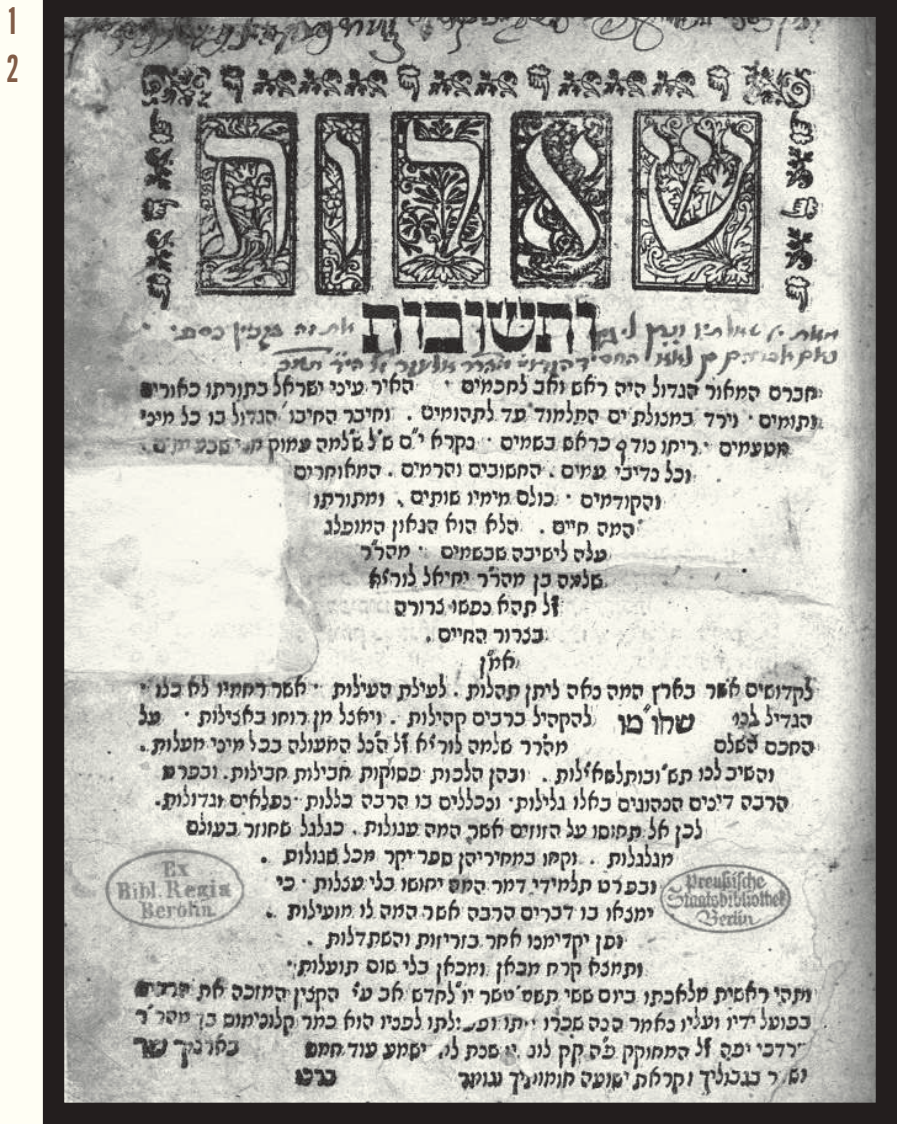
Tomasz Pietrasiewicz

Fragmenty książki Tomasza Pietrasiewicza
Słowo drukowane w Lublinie. Przewodnik, Lublin 2025 r.

Źródła:

- Magdalena Bendowska, *Stosunki polsko-żydowskie w XVI i XVII wieku w świetle lubelskich polemik religijnych i druków ulotnych*, [w:] *Lokalność. Wsie, miasteczka, miasta na ziemiach polskich od XVI do XX wieku*, red. Anna Landau-Czajka, Warszawa 2020.
- Majer Bałaban, *Żydowskie Miasto w Lublinie*, Lublin 2012.
- Krzysztof Pilarczyk, *Talmud i jego drukarze w Pierwszej Rzeczypospolitej*, Kraków 1998.
- Samuel L. Schneiderman, *Od Nalewek do wieży Eiffla*, „Folks-Sztyme” 1999.

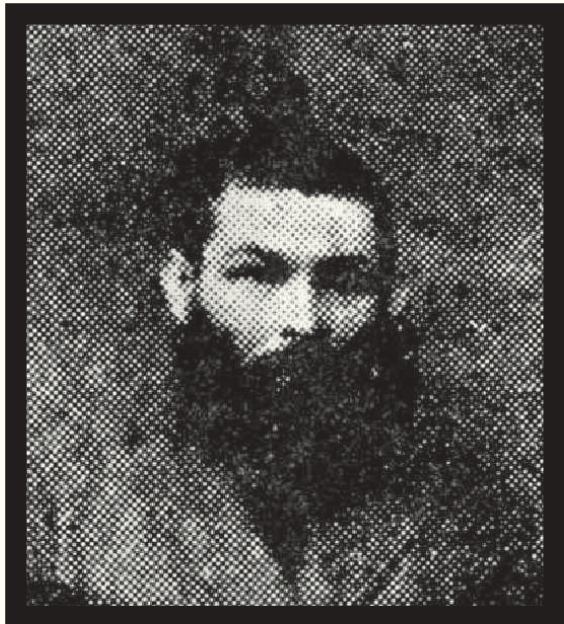
- Szlomo ben Jechiel Luria, *Szeelot u-teszuwot*, Lublin 1574, strona tytułowa, drukarz: Kalonimos ben Mordechai Jafe.
- Joel ben Szmuel Sirkes, *Mesziw nefesz*, Lublin 1617, strona tytułowa, drukarz: Cwi ben Awraham Kalonimos Jafe.
- Talmud babiloński. Miszna*, Lublin 1595, strona tytułowa, drukarz: Kalonimos ben Mordechai Jafe.
- Jeremiasz Drexelius, *Stonecznik albo porównanie woli ludzkiej z wolą Bożą* ..., Lublin 1630, strona z finałikiem, drukarnia Pawła Konrada.



KSIĘGOZBIÓR JAKUBOWICZA

13

Jedną z najmocniejszych prac Rywki Berger jest drzeworyt o podwójnym tytule *Stosy płoną i Autodafé*. Przedstawia stosy książek żydowskich palonych w Niemczech po dojściu Hitlera do władzy w akcie nazistowskiego wyznania wiary. Wydarzenia z 1933 roku silnie wrosły w zbiorowe wyobrażenia o zbrodniach popełnianych na żydowskim dziedzictwie, ale sprawiły również, że zapomnieliśmy o prostym fakcie – naziści, owszem, niszczyli żydowskie i nieżydowskie zabytki, ale równie często, szczególnie, kiedy posiadały znaczną wartość materialną, zwyczajnie je rabowali.



SKARB LUBELSKIEJ JESZIWY

Przez kilkadziesiąt lat po II wojnie światowej jedną z największych zagadek żydowskiego dziedzictwa w Lublinie i w Polsce w ogóle stanowił los książek z biblioteki Jeszywas Chachmej Lublin, otwartej w 1930 roku z inicjatywy rabina Majera Szapiry i do wybuchu II wojny światowej największej wyższej uczelni talmudycznej na świecie, której monumentalnym gmach do dziś stoi przy ul. Lubartowskiej 85.

Wielu dziennikarzy i badaczy powielalo historię o niemal ceremonialnym spaleniu tych zbiorów przez Niemców, ignorując lub niedowierzając doniesieniom o odnalezieniu całego tego księgozbioru – liczącego od kilkunastu do kilkadziesiątu tysięcy woluminów – po wyzwoleniu Lublina i jego późniejszym rozproszeniu. Jeszcze kilka lat temu wiadano o zaledwie pięciu książkach z pieczętkami własnościowymi Jeszywas Chachmej Lublin. Na początku lat dwudziennych odnaleźli je w dawnej synagodze Chewra Nosim w Lublinie profesorowie Monika Adamczyk-Garbowska i Adam Kopciowski. Dziś, po kilku latach wytężonych poszukiwań, wiemy już o ponad tysiącu pięciuset takich książkach, rozproszonych po bibliotekach, szkołach religijnych i kolekcjach prywatnych na całym świecie, i przypuszczamy, że kolejne setki i tysiące czekają na odkrycie.

Biblioteka lubelskiej jesziwy z pewnością była prawdziwym skarbem – kolekcją niezwykle cennych i często rzadkich druków przesyłanych do Lublina w prawdziwym czynie społecznym z całego ówczesnego świata żydowskiego. Sam rabin Benjamin Gut z synagogi Chasam Sofer w Nowym Jorku przekazał na rzecz tej biblioteki aż cztery tysiące tomów oraz tysiąc dolarów; w miastach i miasteczkach w Polsce powstawały

specjalne komitety *zamlerów*, czyli zbieraczy książek, a po śmierci swojego założyciela rabina Majera Szapiry, biblioteka jesziwy powiększyła się o jego kilkutyśieczną kolekcję prywatną. Nie była to jednak jedyna biblioteka żydowska w Lublinie. Instytucja taka działała również przy Gminie Żydowskiej, a dziś z kilku czy kilkunastu tysięcy woluminów znanych jest zaledwie kilka, dosłownie trzy lub cztery, które noszą jej znaki własnościowe. Bez śladu przepadła natomiast biblioteka im. Medema, działająca przy lubelskiej Kultur Lidze i gromadząca przede wszystkim świecką literaturę w języku jidysz. Ale w przedwojennym Lublinie istniały również cenne i czasem bardzo bogate kolekcje prywatne, z których chyba najciekawsza należała do Szmula Dawida Jakubowicza z ulicy Szerokiej.

O Jakubowiczu dowiedziałem się zupełnie przypadkiem, przeglądając tysiące książek w Bibliotece Narodowej Izraela w poszukiwaniu znaków własnościowych Jeszywas Chachmej Lublin. Bardzo szybko trafiłem właśnie na pieczętki Jakubowicza: najpierw rosyjskojęzyczne z Włodawy, a potem polsko-jidyszowe z jego dokładnym adresem w Lublinie – Szeroka 16. Na takie same pieczętki natknęliśmy się z Moniką Tarajko i prof. Andrzejem Trzcinińskim podczas naszych wypraw w poszukiwaniu książek w Żydowskim Instytucie Historycznym i Gminie Żydowskiej w Warszawie. Regularnie widzę je na książkach sprzedawanych na aukcjach antykwarycznych w Izraelu i USA oraz na pozycjach digitalizowanych przez biblioteki na całym świecie. Książki z biblioteki Jakubowicza dzielą zresztą najprawdopodobniej los z książkami z jesziwy – zostały zrabowane przez Niemców i zapewne złożone w gmachu obecnej Biblioteki Wojewódzkiej, następnie wyzwołone w 1944 roku, w 1946 przetransportowane do warszawskiej Żydowskiej Komisji Historycznej i wylonione zeń Centralnej Biblioteki Żydowskiej, a w 1947 roku w jakiejś części подарowane Uniwersytetowi Hebrajskiemu w Jerozolimie.

SZMUL DAWID JAKUBOWICZ ZWANY CHODZĄCĄ ENCYKLOPEDIA

Kolekcja Jakubowicza liczyła zapewne od kilku do kilkunastu tysięcy książek. Znajdowały się w niej przede wszystkim dzieła religijne, ale znaleźliśmy wśród nich również pozycje świeckie, jak na przykład *Toldot Napoleon*, t.j. *Historia Napoleona* Feiwa Schiffera, wydana w Warszawie w 1849 roku. Wśród nietypowych dzieł z jego prywatnej kolekcji naszą uwagę przykuł okazały maszynopis response'ów średniowiecznego rabina z Barcelony – Szlomo ibn Adereta RaSzBy sporządzony na podstawie wydania ze Lwowa z 1811 roku. Podczas naszych poszukiwań już wielokrotnie widzieliśmy książki

naprawiane i uzupełniane przez bractwa naprawy książek, gdzie kilka brakujących stron zastapionych było odpisami sporządzonymi na maszynie lub ręcznie, ale tego rodzaju kopie całych kilkusetstronicowych książek należą do rzadkości. W czasach, kiedy książki były prawdziwym towarem luksusowym, drukowano je w niewielkich nakładach, a zapotrzebowanie rosło, pracochłonne przepisanie całej książki często okazywało się tańsze, niż zakup starej, drukowanej pozycji.

Urodzony 27 maja 1892 roku w Białej Podlaskiej Szmul Dawid Jakubowicz nie był w Lublinie postacią anonimową. Wręcz przeciwnie, należał do znanych osobistości – pracował jako księgowy Gminy Żydowskiej, potem natomiast, w trakcie wojny, zatrudniony był w kancelarii głównej Judenratu. Chociaż w jakiejś mierze zapomniany, był postacią naprawdę nietuzinkową, której życiorys śmiało mógłby pomieścić kilka osób. W 1978 roku na łamach pisma „Kol Lublin”, wydawanego przez Ziomkostwo Żydów lubelskich w Izraelu tak pisała o nim jego córka, Mincza:

„Lubelski iluz (geniusz) – tak, jak mi się zdaje, zwali eleganckiego, szczupłego i pobożnego młodzieńca Dowidze (Dawidka) Jakubowicza, kiedy przybył do Włodawy do swojej wybranki serca Cypory Holcman. Takim to jawił się u chasydów bialskich i międzyrzeckich oraz u najtęszych głów talmudycznych, z którymi to ów osiemnastoletni mędrzec studiował całymi dniami. Ale Szmul Dawid zajmował się nie tylko studiowaniem Tory. Czytał bardzo dużo i wykazywał zdolności matematyczne. Gdy jego teść, Mates Holcman, otwiera pierwszy żydowski bank we Włodawie (pod firmą Dom Bankowy), Szmul Dawid zostaje w nim dyrektorem i głównym księgowym. Sprawy zawodowe otwierają przed nim całą Rosję. Zamawia sobie podręczniki do nauki w gimnazjum i w przeciągu jednego ledwie roku zdaje z wyróżnieniem maturę z rosyjskiego i polskiego.

W Jom Kipur w 1914 roku, tuż po wybuchu I wojny światowej, wysiedlają wszystkich z okolic Pińska, gdzie rodzina Holcmanów osiadła u krewnych. Wyjeżdżają do Ufy, głównego miasta Tatarów, gdzie Jakubowicz wiąże się z partią Poalej Syjon lewica. Szybko zyskuje popularność dzięki swoim pogłębionym referatom politycznym. Udziela się też na konferencjach. W 1916 roku zostaje wybrany jako delegat do Dumy. W 1919 roku traci swoją żonę Cyporę i zostaje sam z trójką małych dzieci. W 1920 roku, jako sekretarz Poalej Syjon lewica, zostaje wysłany do Czernihowa. W 1922 roku wraca do swojej matki do Lublina razem z trójką dzieci: śp. Janklem, śp. Chajką oraz Minczą (obecnie w Brazylii). Również w Lublinie Jakubowicz szybko zyskuje sławę dzięki swoim uczonym referatom. Zasiadać bę-



dzie w radach żydowskich szkół, wyda podręcznik do buchalterii oraz otrzyma stałą pracę jako główny księgowy i radca finansowy Gminy Żydowskiej oraz redaktor-protokolant w trzech językach: żydowskim, polskim i hebrajskim. Szmul Dawid utrzymywał bliskie stosunki z rabinem Majerem Szapirą, głową Jeszywas Chachmej Lublin i często spotykał się z bardzo uzdolnionymi żydowskimi uczniami.

W roku 1940 jego dzieci Jankiel i Chaja, pracujące wówczas w Białymstoku, interweniują w Moskwie, pozostającej wówczas w dobrych stosunkach z Niemcami, w celu ściągnięcia ich ojca do Rosji. Rosjanie zgadzają się na wymianę czterdziestu Niemców, którzy mają wyruszyć 10 lipca 1941 roku. Niestety, dwa tygodnie przed tym terminem wybucha wojna niemiecko-radziecka i w ten sposób sypią się plany uratowania Jakubowicza. Podczas wojny Niemcy żądają coraz większej liczby żydowskich robotników. Sprawą tą zajmuje się sekretarz Blechman. Kiedy jest chory, Jakubowicz przejmuje jego obowiązki. Kiedy żądają od niego listy Żydów do pracy, a on odmawia wykonania tego polecenia, bo zdaje sobie doskonale sprawę, że za każdym razem połowa nie wraca, tej samej nocy przychodzą go nizio i wyciągają z mieszkania. Zabierają go i moją ciotkę, jego drugą żonę, na Majdanek, gdzie oboje giną.

Wiem, że mój ojciec był sędzią w sądzie pracy. Dawał również lekcje na temat wychowania dzieci. Szmul Dawid Jakubowicz był w Lublinie nazywany chodzącą encyklopedią, a jego wszechstronna wiedza cieszyła się sławą w całym mieście. Był kochanym, ciepłym człowiekiem, dobrym mężem i ojcem”.

Piotr Nazaruk

- 1 Szmul Dawid Jakubowicz, „Kol Lublin”, nr 12, 1978, s. 61.
- 2 Rosyjskojęzyczna pieczętka Jakubowicza z Włodawy z książki *Brait'a de-Szemuel ha-Katan*, Piotrków 1902, [zbiory Żydowskiego Instytutu Historycznego im. E. Ringelbluma w Warszawie].
- 3 Rywka Berger, *Szejter hoifns brenen (Stosy płoną)*, tyt. alt. *Ojodafe (Autodafe)* [zbiory Żydowskiego Instytutu Historycznego].
- 4,5 Polsko-jidyszowa pieczętka Jakubowicza z ulicy Szerokiej 16 w Lublinie z książek *Toldot Napoleon*, Warszawa 1849 oraz *Mawo Sze'arim*, Kraków 1883, [zbiory Żydowskiego Instytutu Historycznego im. E. Ringelbluma w Warszawie].



KRAJOBRAZ Z KUCZKAMI

Krajobraz historycznego miasta to opowieść o ludziach – ich życiu, wartościach, rytuałach, lokalnej kulturze materialnej, codziennych radościach i troskach. Kuczki (hebr. sukka) – niewielkie szałaszy budowane na żydowskie święto Sukkot – są jedną z bardzo ciekawych, a zarazem do niedawna zapomnianych, kart tej opowieści w polskich miastach. Choć wiele z nich zniknęło, ich ślady wciąż mówią: o sąsiedztwie i tysiącletniej obecności Żydów w Polsce. W tym roku to ruchome święto przypadło na dni 6–13 października.

Czym była kuczka i dlaczego właśnie tu?

Sukkot to żydowskie święto, które upamiętnia biblijną wędrówkę przez pustynię i zamyka czas plonów – to radosna, jesienna celebracja. Przepisy religijne dotyczące święta Sukkot zostały sprecyzowane w Talmudzie w traktatach Sukka i Szabbath oraz przez Majmonidesa w Miszne – Tora, w rozdziale Sukka. Opisano w nich dokładnie również wygląd, konstrukcję i zasady budowy szałasów: powinien stać pod gołym niebem, mieć co najmniej trzy ściany i być zbudowany z materiału roślinnego; pokrycie

dachu zwane schach, powinno być wykonane z roślin, takich jak: słoma, trzcina, sitowie, wierzba, jedlina. Konstrukcja dachu powinna być na tyle gęsta, aby „słońce nie przewyższało cienia w szałasie” oraz żeby „większe gwiazdy można było przez nią widzieć”. W polskim klimacie tradycyjny „namiot”, w którym religijni Żydzi powinni spędzić tydzień pod gołym niebem, przybrał lokalne formy: obok wolno stojących szałasów budowano kuczki trwale połączone z kamienicą lub domem – zabudowane balkony, werandy czy wykusze – zawsze z otwieranym dachem, by „mieszkać pod gołym niebem”. Te drewniane, ale i murowane „ganki”, jesienią gęsto zastawiały podwórze i tylne elewacje domów w dzielnicach żydowskich wielkich miast i dawnych sztetli.

Ludzie, rytuały, codzienność

Kuczka to scena obrzędu domowego: stół z tradycyjnymi potrawami, lulaw i etrog, łańcuchy z bibulek klejone przez dzieci, rodzinne śpiewy i opowieści. Dziecięce relacje z „Małego Przeglądu”, gazety dla dzieci założonej przez Janusza Korczaka, dopowiadają detale: stuk młotków przed świętem, kupowanie plecionych półkoszów na dach, rywalizację o najpiękniejsze ozdoby. Z tych fragmentów wyrasta obraz święta, które łączyło pamięć pustyni z rytmem miejskiego podwórka i dziecięcej radości.

Typy kuczek

- **Okazjonalne:** stawiane na podwórkach i w ogrodach z desek, starzych drzwi, trzcinowych mat, przyjmujące formę małego domku.
- **Balkonowe:** szybkie do zrobienia, ale mniej odporne na deszcz – idealne dla miejskich kamienic.
- **Architektoniczne drewniane:** przybudówki na wspornikach, często bogato dekorowane, z kolorowymi szybami, wpuszczającymi do wnętrza wibrujące barwy światła.
- **Architektoniczne murowane:** wykusze z dużymi oknami, często w oprawie architektonicznej, najczęściej na tylnej elewacji kamienicy.
- **Metalowe:** rzadkość epoki industrialnej (żelazne szkielety, nity, roślinne ornamenty).
- **Strychowe i mansardowe:** kuczka „ukryta” na poddaszu z dużą kłapą w połaci dachu.
- **Kuczka-ganek:** pragmatyczne połączenie szałasów z wiatrolapem czy zewnętrznym korytarzem.

Każdy typ to inny kompromis między nakazem religijnym a warunkami miejsca, zasobnością gospodarzy i inwencją majstra lub samego gospodarza. Wymogiem sine qua non była możliwość otwarcia dachu, aby spełnić wymóg przebywania przez 7 dni „pod gołym niebem”.

Inżynieria podwórka: jak otworzyć na niebo

Największym wyzwaniem był mechanizm otwierania dachu. Od prostych kłap podpieranych kołkiem, przez liny i bloczki z kołowrotkami, po prowadnice z zębatymi kołami czy wały na łańcuchach – to ludowa inżynieria w miniaturze. Techniczne drobiazgi (zawiasy, ograniczniki, ryneki-prowadnice) są dziś kluczowymi „dowodami tożsamości” kuczek.

- 1 Kamienica przy ul. Olejnej z drewnianą kuczka, b.d., fot. Edward Hartwig [zbiory Ewy Hartwig-Fijałkowskiej].
- 2 Kuczka na budynku przy ul. Krawieckiej 18 (Basztowa 2), 1938 r., fot. autor nieznanym [Archiwum Państwowe w Lublinie, zespół archiwalny nr 22 – Akta miasta Lublina, Inspekcja Budowlana miasta Lublina [1926-] 1944–1950 [1951], sygn. 2225].



Wnętrza: ikonografia święta i estetyka codzienności

W środku – dywany, lichtarze, najlepsze naczynia. Dzieci wieszają papierowe łańcuchy i lampiony z dyni, na ścianach pojawiają się herby Dawida i patriotyczne obrazki. Rzadkie, lecz ważne są polichromie: pejzaże, zwierzęta, motywy roślinne, symbole świątyni – wizualna teologia radości i plonów. Na zewnątrz z kolei – snycerskie, ażurowe wycinanki w drewnie, które dialogują z tradycją ludową i miejską modą (eklektyzm, secesja, art déco).

Dlaczego znikają i co można zrobić?

Po wojnie, wraz z zagładą społeczności i utratą funkcji, kuczki przerabiano na werandy, składziki lub traktowano je jako powiększenie mieszkania. Mechanizmy dachów usuwano podczas remontów, często nie mając już świadomości ich obrzędowej roli. Dziś tylko nieliczne kuczki chronią rejestry zabytków lub trafiły do muzeów. Tymczasem to ostatnie materialne świadectwa wielokulturowej historii wielu polskich miejscowości. Potrzebne są: inwentaryzacja terenowa, kwerendy archiwalne, programy konserwatorskie i włączenie kuczek do planów ochrony – ale też mądra popularyzacja i turystyka kulturowa, która uczy patrzeć również na tyły kamienic.

Jak rozpoznać kuczkę?

1. **Szukaj śladu mechanizmu dachu** (kłapy, zawiasy, bloczki, prowadnice).
2. **Sprawdź źródła archiwalne:** plany, pozwolenia budowlane, fotografie, zamieszkiwanie przez Żydów.
3. **Zbieraj relacje świadków** – pamięć mieszkańców często rozstrzyga wątpliwości.

Kuczki to niewielki element krajobrazu kulturowego – ale ich opowieść jest wielka. Uczą, że architektura nie kończy się na fasadach: bywa chwila jak święto, sprytna jak podwórkowy mechanizm, wzruszająca jak dziecięcy lampon. Nawet, gdy znikają, zostawiają w tkance miasta czytelne znaki, które opowiadają o ludziach, którzy żyli tu niegdyś: o wspólnocie i pamięci.

Małgorzata Michalska-Nakonieczna



Różka Doner, ur. 1920 r.

Wszystko było tam żydowskie, całe Podzamcze było żydowskie. Kto mieszkał na Podzamczu? Biedni Żydzi, to była straszna biedota. Żyli z dnia na dzień. Pamiętam, że przychodzili do nas co pewien czas i ojciec dawał nawet dosyć duże datki tym biedakom. W większości mieszkali tam rzemieślnicy – szewcy, krawcy, stolarze. Kupców było bardzo mało. Byli drobni handlarze, ale to wszystko była biedota.

Aleksander Szryft, ur. 1920 r.

Na Podzamczu mieszcili się także chedery, do których posyłano chłopców z religijnych rodzin. Nauka w chederach była odpłatna, a płaciło się w zależności od zamożności rodziny. Najbogatsi mogli sobie pozwolić na wynajmowanie płatnych mełamedów, którzy przychodzili do domów. Przyjmowano ich bardzo elegancko. W piątki przed szabatem prywatny mełamed egzaminował ucznia w obecności ojca.

Julia Hartwig, ur. 1921 r.

Chodziłam w te miejsca na Podzamczu. Nie było powodu, żeby tam nie chodzić. Mnie to bardzo ciekawiło. Muszę powiedzieć, że ja w ogóle zawsze byłam bardzo ciekawa świata, a tutaj miałam pod ręką jak gdyby podróż. Bo to jest naprawdę coś takiego, co było niepowtarzalne. To były naprawdę jak gdyby dwa miasta. Z jednej strony wołałabym, żeby może nie było tego wyraźnego rozgraniczenia, a równocześnie byłoby mi żal, żeby właśnie tej różnorodności, takiej zupełnej odmienności też nie było w Lublinie. To jest dla mnie symbol. Ja nigdy w żadnym innym mieście tego nie przeżyłam.

Chawa Goldmine, ur. 1923 r.

Koło Bramy Grodzkiej to tam się nazywało Podzamcze. Zamkowa, Krawiecka, Szeroka... Tam była żydowska dzielnica. Przeszła tam rzeka jedna. Byli tam Żydzi, byli tam, [byli] rodziny. Jeden miał sklep spożywczy, jeden był piekarz, jeden miał sklep z ubraniami. Różne było to, czym Żydzi się zajmowali przed wojną. Różne rzeczy. Byli i krawcy, byli i szewcy, byli, były... no, jak się nazywa... stolarze. Robocza... to znaczy, że naród roboczy. Było więzienie na górze. I myśmy byli na tym rogu na dole i widzieliśmy wszystko, co się dzieje. Więźniowie chodzili pracować o czwartej, mieli pole. Oni chodzili z kajdanami. Było słychać na bruku – nie było szosy asfalt, był bruk, takie duże kamienie wypukłe – to było słychać, jak oni idą do pracy, więźniowie. Ale dzisiaj mówią, że Lublin zupełnie inaczej [wygląda]. Pierwsze, że dzielnica żydowska nie istnieje.

Hanna Wyszowska, ur. 1930 r.

Często z mamą [chodziliśmy] na Kalinowszczyznę, gdzie byli pochowani rodzice mojej mamy. Chodziliśmy właśnie przez Bramę Krakowską, Bramę Grodzką i Miasto Żydowskie, później na Sienną i na Kalinowszczyznę. Zawsze to na mnie robiło wrażenie takiej biedy. Wydaje mi się, że Stare Miasto było zamieszkiwane przez biedną część żydowskich rodzin, na pewno bogaci mieszkali przy znanych ulicach. Jeśli chodzi o nasze spacerowanie z mamą po Starym Mieście, to jedno mi się rzucało w oczy, że Stare Miasto w porównaniu do tego, co teraz oglądam – wyglądało biednie. Te domy były malowane bardzo jaskrawymi kolorami. Jedna kamienica od drugiej to były bardzo ostre barwy. Biednie wyglądały. Ile razy przechodzę przez Bramę Grodzką, tyle razy sobie przypominam – tu gdzie są te drzwi, pośrodku Bramy Grodzkiej, wychodzący Żyd, z ogromnym takim workiem, stary z brodą, tak mocno pochylony i tak pomyślałam sobie – „Boże, czemuż on musi to dźwigać?”.

Edward Hartwig, ur. 1909 r. (Dzielnica żydowska)

Podzamcze, mówiąc językiem człowieka wrażliwego, było genialne do malowania, do fotografowania, ten prymityw, ten strój, ten ubiór, ten wygląd zaróżniony, te bardzo ubogie drewniane chałupy na Podzamczu... Właściwie

wszystko się zaczynało od Bramy Trynitarzkiej [przyp. red. Bramy Grodzkiej], to oczywiście było bez kanalizacji, byli szewcy, krawcy, oni mieli taki kąt do spania dosłownie, a pracowali na tak zwanym powietrzu – okropnym powietrzu, bo to nie było czym oddychać. Jednocześnie była architektura, był ciekawy sztafaż i był ten moment zarobków. Oczywiście Żydzi mieli talent do handlu. Mała część zamieniała się w rzemieślników, natomiast większość handlowała. Jak ten handel wyglądał – przede wszystkim były to sprawy konsumpcyjne, ale były na przykład takie jedzenia, takie makagigi, to jest z maku zrobione, były jabłka marynowane w takich dużych beczkach, kapusta i różne specjalności, które tylko u Żydów można było kupić, śledzie oczywiście itd. I to było wystawione przed mieszkaniem.

Wanda Łazowska, ur. 1926

W klasztorze mieściła się szkoła, a widok z klasztoru wychodził na plac Zamkowy, na getto. Siostra przełożona zabraniała nam stać w oknach, gonila nas. Więcej słyszałam, co się tam działo niż widziałam. Było słychać krzyki, piski, czasami strzały.

Edward Soczewiński, ur. 1928

[Po likwidacji getta na Podzamczu] poniewierały się książki. Na żydowskie książki nikt nie zwracał uwagi.

Edward Soczewiński, ur. 1928 r.

To były biedne dzielnice, biedni ludzie raczej tam mieszkali, biedniej byli ubrani od ludności polskiej. Jakies mycki, chałaty. Trochę to inaczej wyglądało w tej dzielnicy żydowskiej. Były takie dość zaniedbane domy, z obłazącym tynkiem, albo takie raczej drewniane domy na Podzamczu. To były rudery bym powiedział. Nie były to jakieś elegancie, nowe domy, tylko takie dosyć zaniedbane, stare domy.

Alicja Barton, ur. 1941

Jako dzieci z ciekawością i z troską całymi grupami biegałyśmy na Podzamcze, gdzie znajdowały się ruiny getta. Tam z dziewczynkami szukałyśmy koralików. Pewnego razu znalazłam szmacianą laleczkę zagubioną w pościechu.

Danuta Warmowska, ur. 1935

Jak brat przyjechał (...) i była wystawa rolnicza ogólnopolska, to poszliśmy oboje, już miałam dziesięćnaście lat, panienka, na teren wystawy zwierzęcej, wszedł ze mną, mówi: „Nie, ty tutaj siedz, bo to nie pasuje, żeby panienka ze starszym mężczyzną chodziła po takiej wystawie” i on tylko sam chodził. I zawsze mówił, jakie ulice tam były wokoło zamku, jakaś Krawiecka była, wymieniał [i inne], ale ja Krawiecką zapamiętałam ulicę. I to z tej strony ona była od kanoniczek, od tego klasztoru.

CZECHÓWKA, RZĘKA UKRYTA W KANALE

Czechówka, jedna z rzek przepływających przez Lublin, nie wydaje się obecnie czymś wartym szczególnej uwagi. Mała, niewielka rzeczka, płynąca wzdłuż alei Solidarności, wygląda raczej jak kanał melioracyjny niż prawdziwa rzeka, dopływ Bystrzycy. Jednak niecałe sto lat temu Czechówka była jednym z najważniejszych elementów Podzamcza, wpływającym na życie codzienne mieszkańców tej części miasta. Wystarczy wspomnieć, że na obszarze od obecnego skrzyżowania alei Tysiąclecia z ulicą Lubartowską do ronda przy alei Unii Lubelskiej, znajdowało się sześć mostów, bez których komunikacja w tej części miasta nie byłaby możliwa.

Wygląd dzielnicy żydowskiej na Podzamczu jest znany z wielu fotografii, jednak najwięcej zdjęć przedstawiających Czechówkę, znajduje się w zbiorze Wydziału Architektury Urzędu Miasta Lublin, przekazany do Archiwum Państwowego w Lublinie. Są one częścią dokumentacji prac związanych z przesklepieniem koryta rzeki pod koniec lat 30. XX wieku. Czechówka była bowiem nie tylko malowniczą rzeką, nadającą specyficzny charakter dzielnicy na Podzamczu, lecz także źródłem poważnych problemów sanitarnych. Mieszkańcy pozyskiwali stąd wodę do codziennego użytku, ale też było to naturalne miejsce odprowadzania ścieków. Majer Bałaban w książce „Żydowskie miasto w Lublinie” tak opisywał w 1918 roku realia życia na Podzamczu: „Lublin nie ma jeszcze kanalizacji, a woda jest doprowadzona tylko do nowego miasta. Na Starówce i w Mieście Żydowskim wodę sprzedaje się na miarki, a kał i nieczystości spływają z domów otwartymi rynsztokami. Nic dziwnego, że choroby nigdy nie chcą tutaj wygasać i każdego roku zabierają nawet najzdrowszych”.

W celu podniesienia stanu sanitarnego Podzamcza, postanowiono dokonać przesklepienia Czechówki. Nie był to oryginalny pomysł: podobne projekty powstawały już wcześniej w innych miastach, nie tylko Polski, ale i Europy. Pomniejsze rzeki, sprawiające kłopoty komunikacyjne i sanitarne, zabudowywano w podziemnych kanałach (m.in. w Krakowie dopływ Wisły – Rudawę, czy we Lwowie główną rzekę Półtew).

W Lublinie, w latach 30. XX wieku, władze miejskie postanowiły przeprowadzić regulację wszystkich rzek w obrębie miasta. Oprócz względów sanitarnych, jak w przypadku Czechówki, chciano w ten sposób zabezpieczyć się także przed ryzykiem powodzi ze strony kapryśnych, swobodnie płynących rzek. Potrzeba uregulowania rzeki była tym bardziej uzasadniona na Podzamczu, w jednej z najgęściej zamieszkałych dzielnic miasta.

Realizację przesklepienia Czechówki podzielono na kilka etapów. W pierwszym, wykonanym w latach 1937/38, wybudowano odcinek od zbiegu ulic Jatecznej i Siennej do zakola rzeki w pobliżu ulicy Mostowej. W drugim etapie, w latach 1938/39, wydłużono przesklepienie do mostu na ulicy Szerokiej. W 1939 roku rozpoczęto budowę odcinka od ulicy Szerokiej do Nadstawnej, i dalej w kierunku ulicy Furmańskiej. Program prac na rok 1940/41 obejmował przesklepienie Czechówki od Furmańskiej do mostu na ulicy Lubartowskiej.

Na prezentowanej fotografii widać prace podczas ostatniego etapu przesklepiania. Na pierwszym planie są tory taczkowe, ułożone wzdłuż koryta Czechówki, pod mostem na ulicy Lubartowskiej. Przesklepienie koryta rzeki nie zostało jeszcze doprowadzone do mostu. Po lewej widoczny jest fragment kamienicy Browarna 1, na rogu z ulicą Lubartowską. Tuż za nią świeżo wzniesiona hala targowa, której budowę rozpoczęto na rok przed wybuchem II wojny światowej. Wygląd budowli nieco różni się od obecnego, ponieważ w latach powojennych halę kilkakrotnie przebudowywano. Za mostem, w głębi, widoczne budynki pomiędzy ulicami Furmańską



i Nadstawną. Po prawej stronie kadru – fragment kamienicy przy ul. Lubartowskiej 20 (po wojnie nr 26). Mężczyzna w długim ciemnym płaszczu, stojący przy drewnianym ogrodzeniu otaczającym teren budowy, ma na prawym ramieniu jasną opaskę. Z całą pewnością jest to opaska z gwiazdą Dawida, co jednoznacznie wskazuje na czas okupacji niemieckiej. Fotografia powstała najprawdopodobniej późną wiosną 1940 roku, ponieważ właśnie wtedy, według harmonogramu, prowadzono prace przy przesklepianiu rzeki pomiędzy ulicami Furmańską i Lubartowską. Z budynków widocznych na zdjęciu do naszych czasów przetrwała jedynie hala targowa. Pozostałe obiekty zostały wyburzone jeszcze w czasie wojny lub w okresie powojennym, jak kamienice przy ul. Lubartowskiej.

Należy dodać, że prace nad przesklepieniem Czechówki nie ograniczały się tylko do budowy podziemnego kanału, lecz były powiązane z wytyczeniem nowego ciągu pieszego nad zasypanym korytem rzeki. Przebudowywano sąsiednie ulice, układano nowe bruki, chodniki i krawężniki, urządzano także tereny zielone. Można zaryzykować twierdzenie, że pierwszy zaplanowany deptak w centrum Lublina powstał na terenie dawnej dzielnicy żydowskiej na Podzamczu. Rezultat tych prac można zobaczyć na kolorowych fotografiach autorstwa Maxa Kirnbergera, niemieckiego żołnierza, przebywającego w tym czasie w Lublinie. Niestety,

efekt prac porządkowych, realizowanych dużym nakładem kosztów, został unicestwiony w latach 1942/43, w wyniku decyzji o likwidacji getta i wyburzeniu budynków na terenie dzielnicy żydowskiej. Obszar nad dawnym korytem rzeki pozostał zaniedbany aż do 1954 roku, kiedy podjęto prace związane z realizacją nowego założenia urbanistycznego na Podzamczu.

Obecnie przesklepienie – jak podaje Maciej Kowal, autor opracowania „Dawne mosty Lublina nad rzeką Czechówką” – ma długość 738,5 m, z czego 646 metrów wykonano do 1941 roku. Dla porządku należy dodać, że ostatnie prace, na odcinku od dawnego mostu na ulicy Lubartowskiej do ulicy Wodopojnej, zaplanowane jeszcze podczas okupacji, przeprowadzono dopiero po drugiej wojnie światowej. Obecny kształt przesklepienie uzyskało w czasie rozbudowy alei Tysiąclecia i jej przedłużenia wzdłuż obecnej alei Solidarności.

Marcin Fedorowicz

Przesklepienie rzeki Czechówki, 1940 r., fot. autor nieznany. Fotografia z albumu „Roboty publiczne prowadzone na terenie miasta Lublina w okresie okupacji hitlerowskiej” [zbiory Wydziału Architektury, Budownictwa i Urbanistyki Urzędu Miasta Lublin, Archiwum Państwowe w Lublinie, zespół archiwalny nr 22 – Akta miasta Lublina, 1939–1944, sygn. 423].

Same gruzy pamiętam. Aleja Unii Lubelskiej to też same gruzy były, do działek. Nie było tej ulicy, nawet nie pamiętam, w którym roku ona powstała, ta Unii Lubelskiej. To była Gomulki, teraz Unii Lubelskiej. Jak był ten targ [przy obecnej alei Tysiąclecia], nie było tu remontu tego [na dziesięciolecie PRL-u], no to tam były ruiny, gruz, kupa gruzów. Bo to wszystko była dzielnica żydowska. Uliczka koło uliczki, chałupka koło chałupki podobnie. Targowa jest w tej chwili też, króciutka [ulica], tam była kupa gruzów, to nie wiadomo, gdzie się kończyła.

Maria Sowa, ur. 1926

(...) przyjechałam w tym czasie, kiedy zamek lubelski odremontowywali, bo to miało być dziesięciolecie właśnie w Lublinie. To Bierut miał przyjechać do Lublina. I to szaleństwo było! Całe Podzamcze się remontowało, robiło, asfalt się wylewało, te fronty odnawiało. Bo to była wielka uroczystość na 22 lipca w 54 roku. Bo to było dziesięciolecie wyzwolenia, tak że to było wielkie halo w Polsce. Wszystkie władze przyjechały, cały rząd, pamiętam, w Lublinie na Podzamczu były te trybuny ustawione. Jakiś tam zespół taneczny tańczył. No bardzo, bardzo wiele się działo wtedy w tym okresie.

Maria Józefczuk, ur. 1934

Zbudowali domy i uprzątnęli to Podzamcze. Zamek nie był jeszcze odnowiony. Z tej strony, gdzie jest dworzec, targowisko, zrobili takie targi rolnicze. Wszystko tam było, niesamowite rzeczy. Były różne kioski. W jednych kioskach były jakieś ubrania, w drugich maszyny, w trzecich meble. Tu był [Bolesław] Bierut i wielkie uroczystości, przemawiania, ile to zrobili z tego, z tego, że tak dużo zrobili [w Lublinie] – a to raptem parę domów zbudowali, i gruz [uprzątnęli]. Jakież występy były, bo takie plotki chodziły, że Bierut z Lublina pochodzi i że on ten Lublin jakby dowartościowywał. Moja mama na tych targach na Podzamczu kupiła kredens kuchenny. Normalny kredens, biały, z taką nadstawką, i stół. I później, jak ja wyszłam za mąż w [19]54 roku, to mi ten kredens na Bronowice dała.

Wanda Matysiak, ur. 1941

Jak tylko przyjechałam do Lublina, to była wystawa. Tutaj, gdzie jest w tej chwili ten targ pod Zamkiem, w okolicach zamku, to było ogromne, ogrodzone wszystko było, i była wystawa rolnicza. Tam były krowy, świnie, wszystko w takich boksach, dostępne do zwiedzania dla wszystkich, to była darmowa wystawa, różne rośliny były. Jeden jedyny raz [była] taka

wystawa rolnicza(...) Tłumy ludzi tam przychodzili, wycieczki przyjeżdżały, bo to cały rok trwało, znaczy od wiosny do zimy. Tam ludzi przemieszcilo się bardzo dużo. Takie charakterystyczne [co] zapamiętałam – strasznie ogromna świnia, która ważyła prawie 300 kg, ona leżała w takiej zagrodzie i tak wszyscy zwracali uwagę. [Były] różne rasowe krowy, owce, kozy, po prostu rasowe zwierzęta domowe, kury również były, gęsi, ale takie, których się nie hoduje na co dzień. Pościgali takie nie wiem skąd, z całego kraju, może gdzieś z zagranicy. Była strasznie ciekawa ta wystawa.

Andrzej Rozhin, ur. 1940

Jeszcze dzisiaj pamiętam tamten Lublin – brukowane ulice, ale nie granitem, tylko kocimi łbami, właściwie wszystkie ulice tak wyglądały, plac pod zamkiem, gdzie była ta wystawa – takie dziwne miasto, które nie bardzo było podobne do Krakowa, w którym mieszkalem. Oglądaliśmy tę wystawę, te ogromne byki rozplodowe, krowy wielkie, które dawały dużo mleka, no i Stare Miasto, które było w ruinie kompletnej. Ale ściany szczytowe, te zewnętrzne miały okna, ze szkłem, z doniczkami. Taką dekorację zrobiono dla zwiedzających lubelski rynek Starego Miasta, a szczególnie dla prezydenta Polski Bolesława Bieruta, który gościł na wystawie. Potem po powrocie do Krakowa o Lublinie zapomniałem kompletnie. Aż do roku 1960, kiedy wysiadłem z pociągu relacji Kraków – Lublin.

Kazimierz Stopa, ur. 1923

Targ był na podzamczu, tu gdzie teraz. Z tym, że nie było tego obiektu, który stoi pośrodku targu. Była hala sportowa, ale ona służyła i innym celom. Jedyna sala sportowa o takiej kubaturze, gdzie mogły się te imprezy odbywać. Tu, gdzie przebiega w tej chwili ta trasa w kierunku Warszawy, obok zamku, to tutaj tej trasy nie było, była tylko ulica, i tam się ten handel odbywał.

Wanda Dudzie, ur. 1949

Były stoły, na których można było kupić. Pamiętam, takie białe prześcieradła i na plecach kosz wielki, a w koszu wszystko: ser, masło, w butelce mleko. W kankach – kanki, czyli takie naczynia metalowe, przykrywane – można było kupić mleko. Tak że wszystko było w butelkach. Butelki były takie jeszcze korkowe, koreczki były porcelanowe i te zamknięcia dzwigniowe. Zupełnie inaczej – pyk! – otwierało się. Oranżadę pamiętam w tym. Tak że, plastiku zupełnie nie było. Pamiętam, kupowałam takie wiązeczki drewna, związane powrósem. Na wsi łupali chłopci, przywozili tutaj, całe stopy były

tego. Można było sprzedać butelki i kupić drewno. I tak nieraz pomagałam mamie, bo ciężko było. Więc jak pobierałam butelki litrowe, półlitrowe, to właśnie biegałam kupować drewno na targ. Pamiętam konie, miały takie worki na obroki, pamiętam panów siedzących na koźle.

Ewa Krojec, ur. 1950

Tu był targ. Dworca nie pamiętam, chyba [go] nie było. Mniej było autobusów. Może gdzieś tam coś było, bo jeździło się takimi autobusami, „ogórki” się mówiło o [nich], bo miały taki kształt. Ale ja pamiętam targ. Na targu budki. Oczywiście pamiętam budki ze słodczami, już wtedy byłam chyba w szkole podstawowej, bo wtedy się te słodycze [jadło], więc [miałam] może 7–8 lat. [Targ] bardziej wchodził na teren [obecnego] dworca, bo tu stały budki, [w których] były sprzedawane cukierki „rybki”, malutkie cukierki w słoikach, w kształcie rybki, można było na sztuki kupić te cukierki; i były jeszcze cukierki „raczki”, to takie poduszeczki w paseczki, też były w słoikach. Jak miałam jakieś grosze, to leciałam tam po te cukierki. Nie było PKS-u, bo jak cyrk przyjeżdżał, to tam stał. Będąc dzieckiem, uciekałam z domu i poszłam do cyrku, może było gdzieś słabo ogrodzone i w jakiś sposób się tam dostałam. Przedstawienie musiało być w nocy, bo wracałam, [gd]y] ciemno już było. Wróciłam do domu i oczywiście lanie dostałam za to, że mnie szukano wszędzie i nie było wiadomo gdzie [jestem]. Ponieważ miałam babcię, która bardzo mnie kochała, [to] przed karami rodziców czy jak gdzieś coś przeskrobałam zawsze mnie broniła i gdzieś mnie schowała.

Stanisław Baldyga, ur. 1945

Jak już chodziłem do liceum, to ganiałimy wszędzie. To była pierwsza połowa lat sześćdziesiątych. Pamiętam dokładnie, jak były obchody dziesięciolecia Peerelu. Miałem z dziesięć lat. Zorganizowano wtedy wielką wystawę wkoło zamku. Wtedy na zamku po prawej stronie było muzeum, a po lewej Wojewódzki Dom Kultury. Pamiętam Podzamcze, kiedy było jeszcze nieotynkowane. Podczas wystawy rolniczej w jeszcze niezamieszkałych domach, do których potem sprowadzili się ludzie, na tym łuku, była robiona ekspozycja. Tam były różne plansze; dokładnie już nie pamiętam. Stało też dużo pawilonów, gdzie na przykład były jabłka, gruszki, krowy, byki, świnie. Można było to wszystko zobaczyć. To była ogromna wystawa. Stały też pawilony na zewnątrz; porobiono zagrody i stały tam na przykład konie.

Wybór Wioletta Wejman

DWIE POCZTÓWKI Z KOWALSKIEJ

Na przełomie grudnia 1940 i stycznia 1941 roku Sara Goldman wysłała z Lublina dwie karty pocztowe do braci Niborskich w ZSRR. Pierwsza z nich zaadresowana była do Izaka Niborskiego zamieszkałego przy ul. Szkolnej 6 w Różanej w dawnym województwie brzeskim (obecnie na Białorusi). Druga natomiast do S. Niborskiego, lekarza dentysty przy ulicy Internacjonalnej 131 w mieście Syktywkar, stolicy republiki Komi. Obie dotyczyły przede wszystkim rodziców braci Niborskich, początkowo przebywających w Lubartowie, od stycznia 1941 roku zaś razem z Sarą Goldman w jej mieszkaniu przy Kowskiej 4/10. Wybrzmiewa w nich również fatalna sytuacja mieszkaniowa, panująca wówczas w Lublinie oraz bardzo trudne położenie materialne Żydów. Jak wynika

z ich treści, nie były to jedyne listy wysłane przez Goldman do Niborskich, nie wszystkie jednak dotarły do Rosji.

Jak ustalił Roman Romantsov, „Sara Goldman urodziła się 29 grudnia 1907 r. w Zwoleniu w województwie kieleckim. W 1910 r. wraz z rodzicami przeprowadziła się do Małoryty, miasteczka położonego w pobliżu Brześcia, gdzie uczęszczała do szkoły podstawowej. W 1914 r., po wybuchu I wojny światowej, rodzina przeprowadziła się do Mohylewa, gdzie Sara uczęszczała do szkoły dla uchodźców. W 1918 r. wraz z rodzicami powróciła do Polski. Przez kilka następnych lat mieszkała w Radomiu, gdzie w 1923 r. została przyjęta do piątej klasy Państwowego Gimnazjum Humanistycznego im. Elizy Orzeszkowej. Od 1925 r. kontynuowała naukę w ósmej klasie Prywatnego Gimnazjum Żeńskiego Wacławy Arciszowej w Lublinie. W maju 1927 r. uzyskała świadectwo dojrzałości. Od września 1927 do czerwca 1928 r. odbywała roczny kurs nauczycielski, organizowany przez państwowe kursy nauczycielskie przy Państwowym Seminarium Nauczycielskim Męskim im. Juliusza Słowackiego w Lublinie, co umożliwiło jej uzyskanie uprawnień do nauczania w szkołach powszechnych. Od 1928 r. pracowała w szkołach średnich w Białej Podlaskiej jako nauczycielka religii mojżeszowej. W latach 1930–1932 Sara Goldman uczyła w lubelskich prywatnych szkołach powszechnych jako nauczycielka, między innymi w Szkole Powszechnej nr 24 im. Mateusza Butrymowicza przy ul. Karmelickiej 3, gdzie prowadziła zajęcia z rachunków, historii, geografii, przyrody. Od września 1932 do 1938 r. pracowała w szkole powszechnej w Bełżycach” (APL, 702 – *Skorowidz aktów osobowych nauczycieli szkół średnich 1926–1939*, sygn. 349 – Akta osobowe Goldman Sary, [bns]).



od: Sara Goldman,
Lublin, ul. Kowska 4 m. 10
do: Rosja
Niborski Izak
Różana Grodzieńska
woj. Brzeskie
ul. Szkolna 6

Lublin, dn. 20 XII 40 r.
Szanowny Panie!

Dziś dowiedziałam się i zarazem otrzymałam kartkę od Rodziców Pana, iz znajdując się w Lubartowie, w miasteczku oddalonym o 24 km od Lublina. Są tam w okropnych warunkach – bez dachu nad głową i bez środków do życia. Do Lublina nie możemy teraz p. Niborskich zabrać, gdyż rodzina, z którą mieszkamy w jednym pokoju, nie chce się na to zgodzić, a o mieszkanie w Lublinie jest b. trudno. Zrobimy dla rodziców Pańskich co tylko będzie w naszej mocy. W tej chwili [w trakcie pisania listu – red.] wszedł do pokoju pański ojciec, matka przyjedzie jutro. Ojciec prosi żebym go wyręczyła w pisaniu, co też robię, wszelką [waszą? – red.] korespondencję do rodziców proszę do nas skierowywać. Rodzice Pana oczekują z niecierpliwością listu.

[...] pozdrowienia

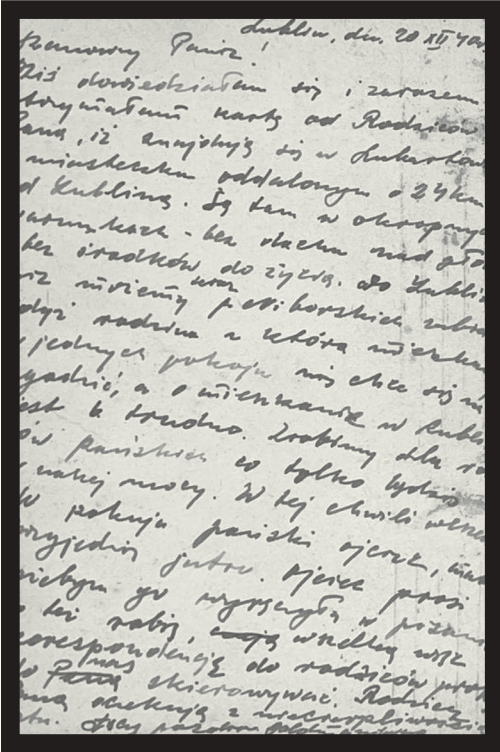
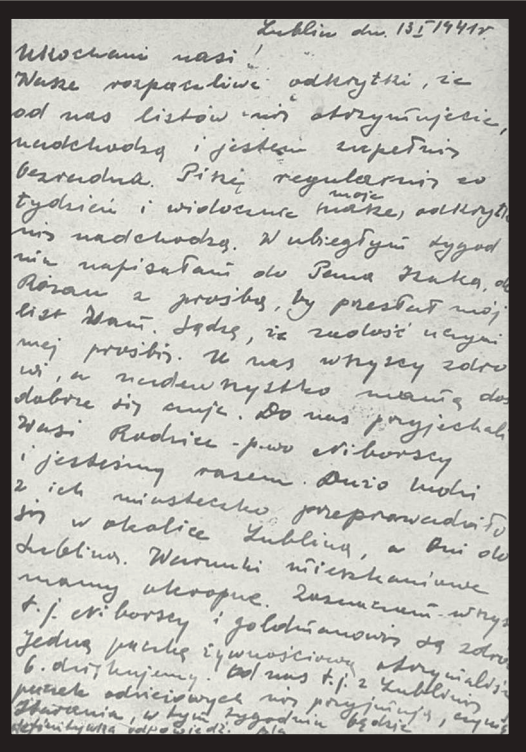
od: Sara Goldman,
Lublin, ul. Kowska 4 m. 10
do: Komi A.S.S.R.
m. Syktywkar
„Wodambulatoria”
ul. Internacjonalna 131
lek. dent. S. Niborski

Lublin, dn. 13 I 1941 r.
Ukochani nasi!

Wasze rozpaczliwe odkrytki [przest. pocztówki – red.], że od nas listów nie otrzymujecie nadchodzą i jestem zupełnie bezradna. Piszę regularnie, co tydzień i widocznie moje odkrytki nie nadchodzą. W ubiegłym tygodniu napisałam do Pana Izaka [Niborskiego – red.], do Różan z prośbą, by przesłał mój list Wam. Sądzę, że zadość uczyni mojej prośbie. U nas wszyscy zdrowi, w [...] dość dobrze się czuje. Do nas przyjechali Wasi rodzice – p.wo. Niborsey i jesteśmy razem. Dużo ludzi z ich miasteczka przeprowadziło się w okolice Lublina, a oni do Lublina. Warunki mieszkaniowe mamy okropne. [...] wszyscy t.j. Niborsey i Goldmanowie są zdrowi. Jedną paczkę żywnościową otrzymaliśmy, b. dziękujemy. Od nas t.j. z Lublina odzieżowych nie przyjmują, czynię starania, w tym tygodniu będzie definitywna odpowiedź.

Piotr Nazaruk

Fotografia Sary Goldman na jej świadectwie dojrzałości [Archiwum Państwowe w Lublinie, zespół archiwalny nr 924 – Prywatne Żeńskie Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcące Wacławy Arciszowej w Lublinie 1917–1949 [–1953], sygn. 217].



Karty pocztowe wysłane do braci Niborskich [zbiory prywatne].

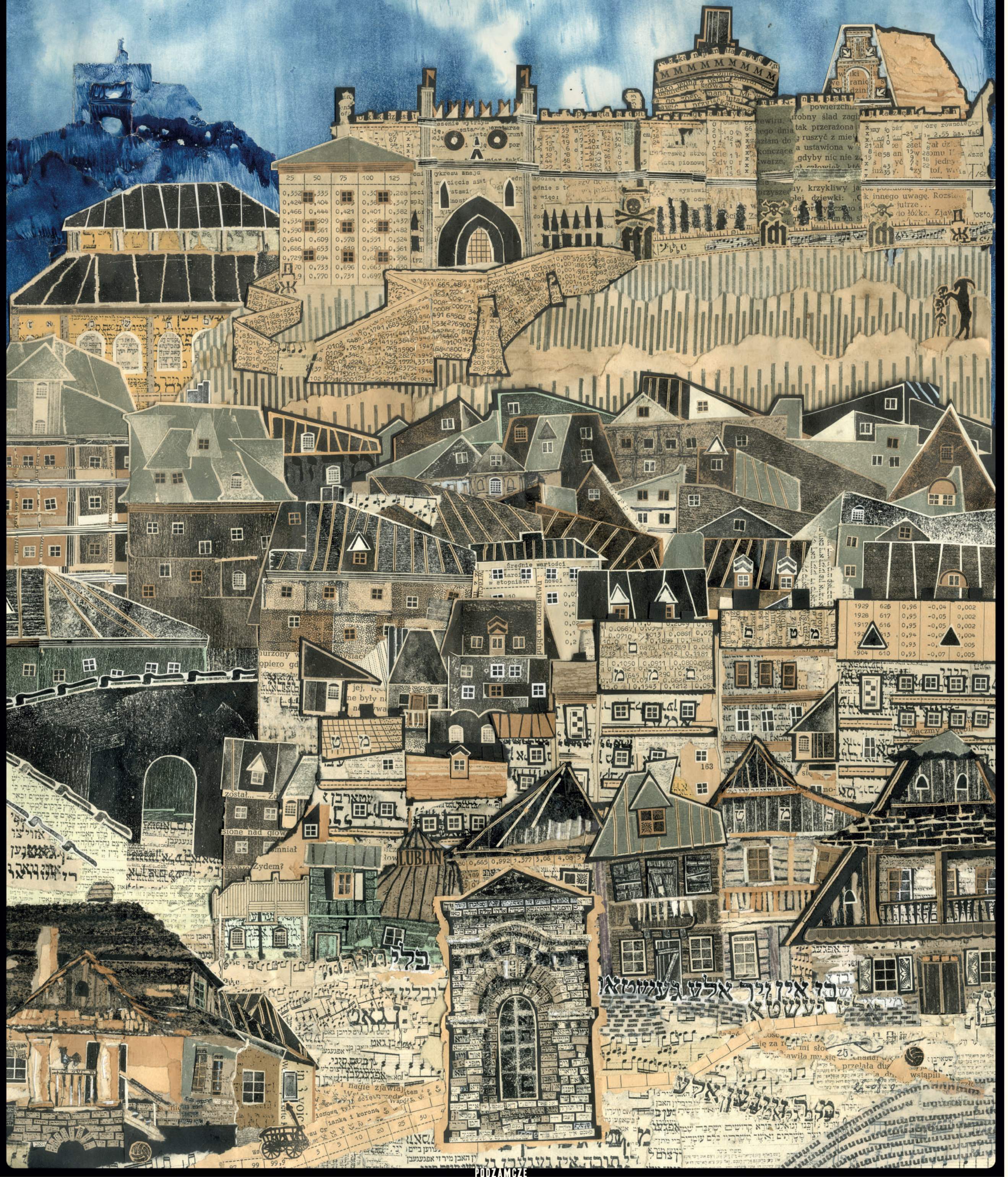
Tomasz Pietrasiewicz

MIASTO ODCHODZI

Miasto odchodzi. Odchodzą języki, litery, napisy, menory i mezuzy. Odchodzą macewy i fragmenty macew. Odchodzą zwoje Tory i ich nadpalone strzępy. Odchodzą książki, gazety, szyldy, plakaty, pocztówki i listy. Odchodzą zamki i klucze, gwoździe, zawiasy, rynny, wiadra i miski, widelce, łyżki, noże, nożyce i igły. Odchodzą kawałki cegieł, kamienie z ulicy. Nie ma już dzbanków, kubków i talerzy. Odchodzą ubrania, wieszaki, szafy, kredensy, stoły, lustra. Nie ma złota i srebra, obrusów, serwetek, makatek, pościeli, pierzyn puchowych, poduszek, kufrów i walizek. Odchodzą sklepy, sodówki, kantory, stragany, jatki, piekarnie. Odchodzą mieszkania, pokoje i kuchnie, strychy, piwnice i klatki schodowe, podwórka, bramy, komórki i oficyny. Odchodzą nieodkryte kryjówki: w piecach, ścianach i pod podłogą, na strychach i w piwnicach, za szafą i w szafie. Odchodzą zabawki, lalki, pajace. Odchodzą buty, jarmułki, chałaty, koszule, sukienki, perkale, peruki i okulary. Odchodzą skrzypce, trąbki, klarnety. Odchodzą psy, koty i kwiatki. Odchodzą konie, furmanki, woźnice. Odchodzą drzwi i okna z żydowskich mieszkań. Odchodzi fotograf, jego aparat, kuwety, naczynia. Odchodzą fotografie, a na nich ludzie w grupach i pojedynczo, na tle i w tle, w ruchu i bezruchu w studio, w parku i na ulicy, młodzi i starzy, biedni i bogaci, kobiety, mężczyźni, dzieci, letnicy, żołnierze, urzędnicy, adwokaci i lekarze, zakochani, smutni, weseli, nauczyciele, szewcy, krawcy, kuśnierze, rzeźnicy i piekarze, handlarze i tragarze, nosiwody i szklarze, muzycy, rabini, chasydzi, szamesi, komuniści i socjaliści, bundowcy i syjoniści, pochody i wiece, przechodnie i gapie. Odchodzą żywi, umarli, całe rodziny. Idzie Małka, Aron, Berek i Mojżesz, Moszek i Rachela, Jakub, Mordechaj, Szloma, Szmul i Abram, Mordko, Icek i Izrael, Hersz, Nuta, Jankiel. Wchodzą w powietrze. Gra muzyka. Odchodzą nazwiska, adresy i daty, nazwy ulic: Browarna, Nowa, Lubartowska, Wodopojna, Mostowa, Błotniki, Jateczna, Krawiecka, Krzywa, Nadstawną, Niska, Okólna, Podzameczna i Zamkowa, Szeroka i Wąska, Dawna, Zaulek Wieniawski i Rynek Wieniawski, Wieniawa. Odchodzą domy i ulice. Odchodzi miasto. Odchodzą sny. Odchodzą ludzie. Odjechały pociągi. Spod ziemi, z ciemności wypływa rzeka, wypłukuje muł, piasek, prochy, pamięć. W oddali świeci czerwona latarka kreta. Wchodzi rdza, pleśń, wilgoć i pył. Wieje wiatr.

PODZAMCZE

Każdej wiosny. Gdy na błoniach otaczających Zamek stopnieje śnieg. Tu, gdzie było Miasto Żydowskie, pojawiają się czerwone kawałki cegieł. Jest ich dużo. Wyglądają jak bursztyny wyrzucone przez morze na plażę podczas burzy. Najbardziej widoczne są w upalne, bezdeszczowe dni, gdy ziemia jest wyschnięta. Można też znaleźć tu przerdzewiałe fragmenty zamków od drzwi, oku okiennych, kawałki rynien, gwoździe, zjedzone przez rdzę klucze. Miasto wychodzi z ziemi, przypominając o swoim istnieniu, o tym, że pod trawą, asfaltem, betonem wciąż są schowane fundamenty stojących tu kiedyś domów.



Plakat „Podzamecze”

Autorem grafiki jest Robert Sawa, absolwent Wydziału Artystycznego UMCS. Przedstawione na plakacie Podzamecze nie odwzorowuje dzielnicy w sposób dosłowny – to nie są konkretne budynki przeniesione jeden do jednego. Jednak do II wojny światowej była to przestrzeń gęsto zabudowana domami, które po Zagładzie mieszkańców zostały zrównane z ziemią. Nieprzypadkowo więc na plakacie nie znajdziemy żadnej postaci – nie ma ludzi, nie ma życia. Są jedynie ślady ich nieobecności: pusty dziecięcy wózek i porzucona piłka – symbole przerwanej codzienności, utraczonego dzieciństwa.

Grafika jest kolażem druków typograficznych, liter i kompozycji znaków. Zwieńczenie donżonu zbudowane jest z litery „M”. Zamek, który w przeszłości pełnił funkcję więzienia, otoczony został na plakacie pięciolinią z fugą Bacha, przypominającą druty kolczaste. Wieże strażnicze stworzone są z krojów pisma używanych w niemieckiej i rosyjskiej typografii. W kompozycji pojawiają się również litery hebrajskie – pochodzące z Jerozolimy, lecz odlane w Niemczech, gdzie tamtejsze odlewnie miały monopol na produkcję czcionek dla całej Europy. Gdyby zachowały się hebrajskie czcionki z lubelskich drukarni, najprawdopodobniej wyglądałyby identycznie. Ułożone z nich litery tworzą fragment wiersza Jakuba Głatszejna „Lublinie, moje święte miasto”.

Po lewej stronie Zamku widoczna jest sylwetka synagogi Maharszala – niegdyś najważniejszej świątyni żydowskiej w Lublinie. U podnóża – studnia, jedyny zachowany ślad dawnej dzielnicy żydowskiej. Czarny prostokąt zawieszony nad Podzameczem symbolizuje Zagładę

Plakat „Podzamecze” to trzeci z serii publikowanej w ramach czasopisma PA.RA. We wrześniu 2025 roku ukazał się plakat „Kalinowszczyzna”, a w październiku – „LSM”. Wszystkie powstają w Izbie Drukarstwa Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” przy ul. Zmigród w Lublinie.

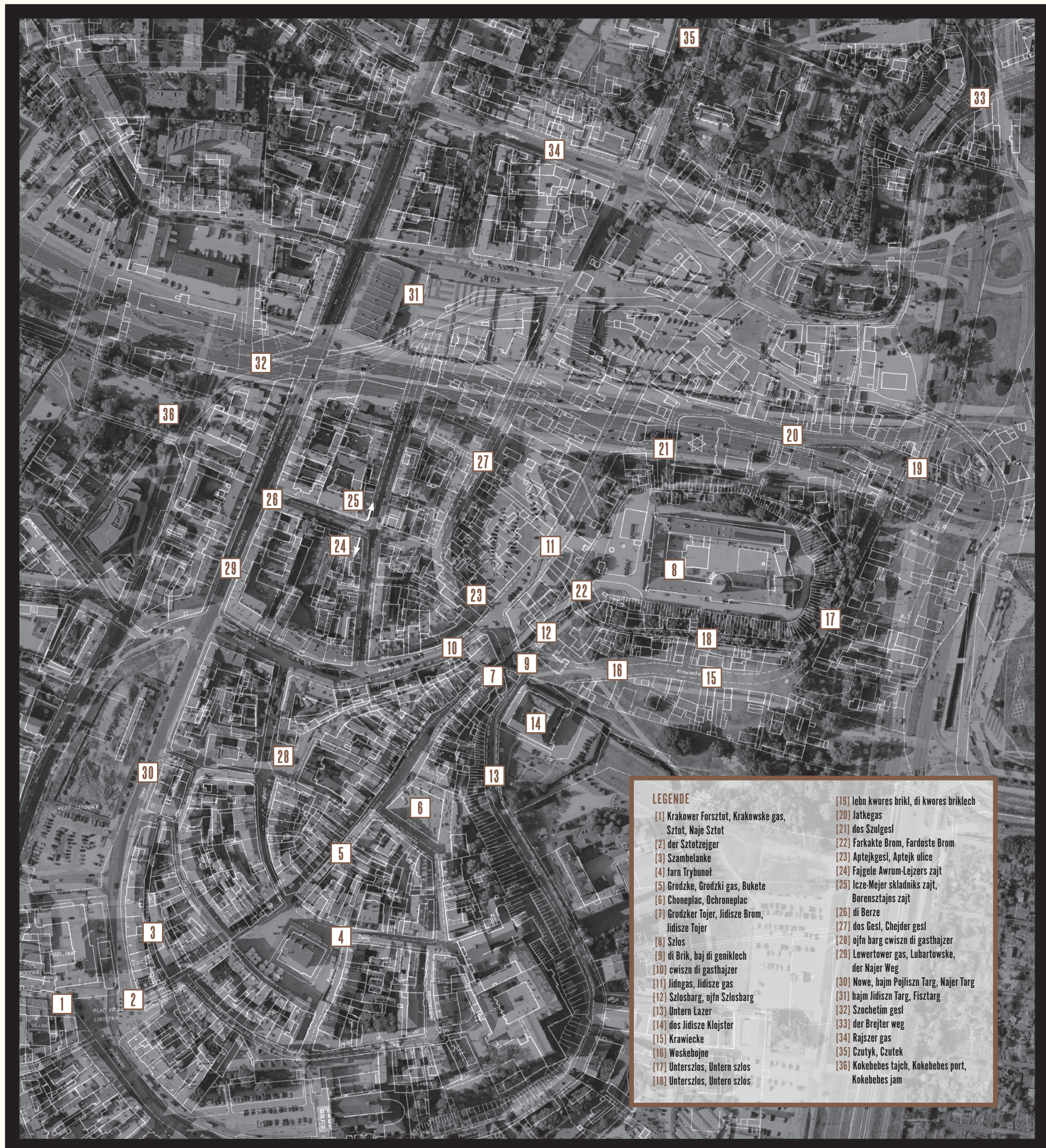
PARA

WĘDROWNIK



OŚRODEK
BRAMA
GRODZKA
TEATR NN.PL

PODZAMCZE



LEGENDE

- | | |
|--|---|
| [1] Krakower Forsztot, Krakowskie gas, Sztot, Naje Sztot | [19] Ieln kwores brikli, di kwores briklech |
| [2] der Sztotzejger | [20] Jatkegas |
| [3] Szambelanke | [21] dos Szulgesl |
| [4] farn Trybunot | [22] Farkakte Brom, Fardoste Brom |
| [5] Grodzke, Grodzki gas, Bukete | [23] Aptejkgesl, Aptejk ulice |
| [6] Choneplac, Ochroneplac | [24] Fajgele Awrum-Lejzers zajt |
| [7] Grodzker Tojer, Jidiske Brom, Jidiske Tojer | [25] Icze-Mejer skladniks zajt, Borensztajns zajt |
| [8] Szlos | [26] di Berze |
| [9] di Brik, baj di geniklech | [27] dos Gesl, Chejder gesl |
| [10] cwiszn di gasthajzer | [28] ojfn barg cwiszn di gasthajzer |
| [11] Jidngas, Jidiske gas | [29] Lewertower gas, Lubartowske, der Najer Weg |
| [12] Szlosbarg, ojfn Szlosbarg | [30] Nowe, bajm Pojliszn Targ, Najer Targ |
| [13] Untern Lazer | [31] bajm Jidisz Targ, Fisztarg |
| [14] dos Jidiske Kiojster | [32] Szochetim gesl |
| [15] Krawiecke | [33] der Brejter weg |
| [16] Woskehojne | [34] Rajszer gas |
| [17] Unterszlos, Untern szlos | [35] Czutyk, Czutek |
| [18] Unterszlos, Untern szlos | [36] Kokehebes tajch, Kokehebes port, Kokehebes jam |

„Nasze ulice, wasze kamienice!” – powiada znane antysemickie przysłowie. Co ciekawe, w dialekcie języka jidysz, używanym przed wojną w Lublinie, istniało podobno słowo „ulice”, tyle że w liczbie pojedynczej i rodzaju żeńskim, które w żadnym razie nie oznaczało naszej „ulicy”.

„Ulica” bowiem (niezależnie – nasza czy nie nasza) to po żydowsku „gas”. Tę z kolei odróżnia się od „weg”, czyli „drogi” (podobnie jak u nas – dużej, przelotowej albo wiodącej gdzieś za miasto). „Ulice” (ale nie „ulica”)I) była w Lublinie bliźniaczką słowa „gestl” i obie – zazwyczaj wymiennie, ale kto dzisiaj to wie – oznaczały wąską „uliczkę” lub „zaulek”. Był to podobno swoicie lubelski koloryt językowy, który o zawrót głowy przyprawiał zapewne nie tylko antysemitów. Koloryt ten przejawiał się także w przeróżnych nazwach zwyczajowych, którymi Żydzi nazywali ulice, ich fragmenty, place albo całe obszary. Źródłem tych nazw bywał język żydowski, czasem pamięć o wydarzeniach dawnych i przebrzmiałych, a czasem... właściciele poszczególnych kamienic.

Główny trakt Lublina – Krakowskie Przedmieście – nazywano po żydowsku dokładnie tak samo jak po polsku – **Krakower Forsztot** [1], co jest przykładem dosłownego tłumaczenia nazwy polskiej. Częściej mówiło się jednak po prostu **Krakowske gas** [1], czyli ulica Krakowska i był to bodaj jedyny przypadek, kiedy nazwa zwyczajowa używana była powszechnie w reklamach, ogłoszeniach i innych półoficjalnych dokumentach. O Krakowskim mówiło się także **Sztot** [1] – Miasto albo **Naje Sztot** [1] – Nowe Miasto. Stąd w Lublinie powiedzenia „iść do miasta” albo „wracać z miasta” odnosiły się właśnie do Krakowskiego Przedmieścia.

Bramę Krakowską, za którą zaczynała się dzielnica żydowska, nazywano **der Sztotzejger** [2] – Zegar Miejski. „Ofj jener zajt sztotzejger” („po tamtej (drugiej) stronie zegara miejskiego”) oznaczało więc coś poza dzielnicą żydowską, w innym (polskim) świecie. Z zegarem wiązało się także inne powiedzenie. Wieczorami gromadziło się tam podziemie, w tym oczywiście prostytutki, na które mówiło się z tego powodu **„mejdlech fun sztotzejger”** („dziewczyny spod Zegara Miejskiego”). Czatowały one na klientów w zasadzie we wszystkich bocznych uliczkach Starego Miasta, ale ich „baza” znajdowała się przy ulicy Szambelańskiej, gdzie zainstalował się jakiś znany dom publiczny. Z tej racji Szambelańska znana była jako **Szambelanke** [3] (Szambelanka), co miało zapewne dodać nazwie frywolnego charakteru. Po przejściu Bramowej wchodziło się na Rynek, który nie miał chyba żydowskiej nazwy, ale jego fragment łączący się z ulicą Złotą nazywano **farn Trybunot** [4]. Przed Trybunałem.

Kowska, która miała być Pereca

Na ulicę Grodzką mówiło się **Grodzke** [5], ewentualnie **Grodzki gas** [5], ale i ta ulica oczekiwała się przed wojną przewiska – **Bukete** [5] (Bukietu). Jak w przypadku Szambelańskiej, także i tym razem nazwa odnosiła się do działalności prostytutek, które wystawały na całej długości ulicy, stąd może Grodzka przypominała bukiet różnobarwnych kwiatów. Raz podobno, jak pisze w swoich wspomnieniach *Gewen a mol a jidisz Lublin* (jid. *Był sobie raz żydowski Lublin*) Dawid Ajdelman, po tym jak znany lubelski alfons Herman obrazł swoje prostytutki podczas kupletu Icika Felda w teatrze Panteon, te ogłosiły strajk i przez dłuższy czas odmawiały wychodzenia **ojf der bukete**, czyli na Bukietę.

Ciekawie określano także dzisiejszy plac Po Farze przy Archidiakańskiej, który po żydowsku nazywano **Choneplac** [6]. Nazwa pochodziła od znajdującej się przy Grodzkiej 11 „Ochrony”, domu dla sierot i starców żydowskich. Polsko-jidyszowe „ochrone” na skutek różnych zjawisk fonetycznych zamieniło się w „chone”, skąd bardziej zrozumiale **Ochroneplac** przybrało taką właśnie formę. Bramę Grodzką (**Grodzker Tojer**) [7], podobnie zresztą jak po polsku, nazywano również **Jidisze Brom** (lub **Jidisze Tojer**) [7], czyli Brama Żydowska. Za nią rozciągała się druga część dzielnicy, okalająca cały Zamek, po żydowsku **Szlos** [8]. Tuż za Bramą wznosił się natomiast niewielki pagórek, przez Polaków nazywany czasem Psią Górką. Dla Żydów była to **di Brik** [9] (Most, w jidysz rodzaj żeński) albo **haj di geniklech** [9] (Przy Ganeczkach). Druga nazwa brała się z charakterystycznej dla tego miejsca zabudowy, pierwsza natomiast jest bardzo interesująca, bo wywodzi się być może z czasów, kiedy Brama pełniła jeszcze funkcje warowne i rzeczywiście zaopatrzona była w most. Na moście zbiegały się w każdym razie ulice Zamkowa, Szeroka i Kowska. Ostatnią z nich nazywano czasem **cwiszn di gasthajzer** [10]. Między Gościńcami, ponieważ, jak twierdzą przekazy, miało się tam kiedyś znajdować wiele zajazdów. Mało skądinąd brakowało, a przed wojną zmieniono by nazwę Kowskiej na ulicę Icchoka Lejbusza Pereca. W 1928 roku projekt był mocno popierany przez spo-

łeczność żydowską, ale ostatecznie nie zgodziła się na to Rada Miasta. Szeroka znana była powszechnie jako **Jidngas** albo **Jidisze gas** [11] – ulica Żydowska, Zamkowa z kolei – **Szlosbarg** [12], czyli Zamkowa Góra lub **ojfn Szlosbarg** [12], Na Wzgórzu Zamkowym.

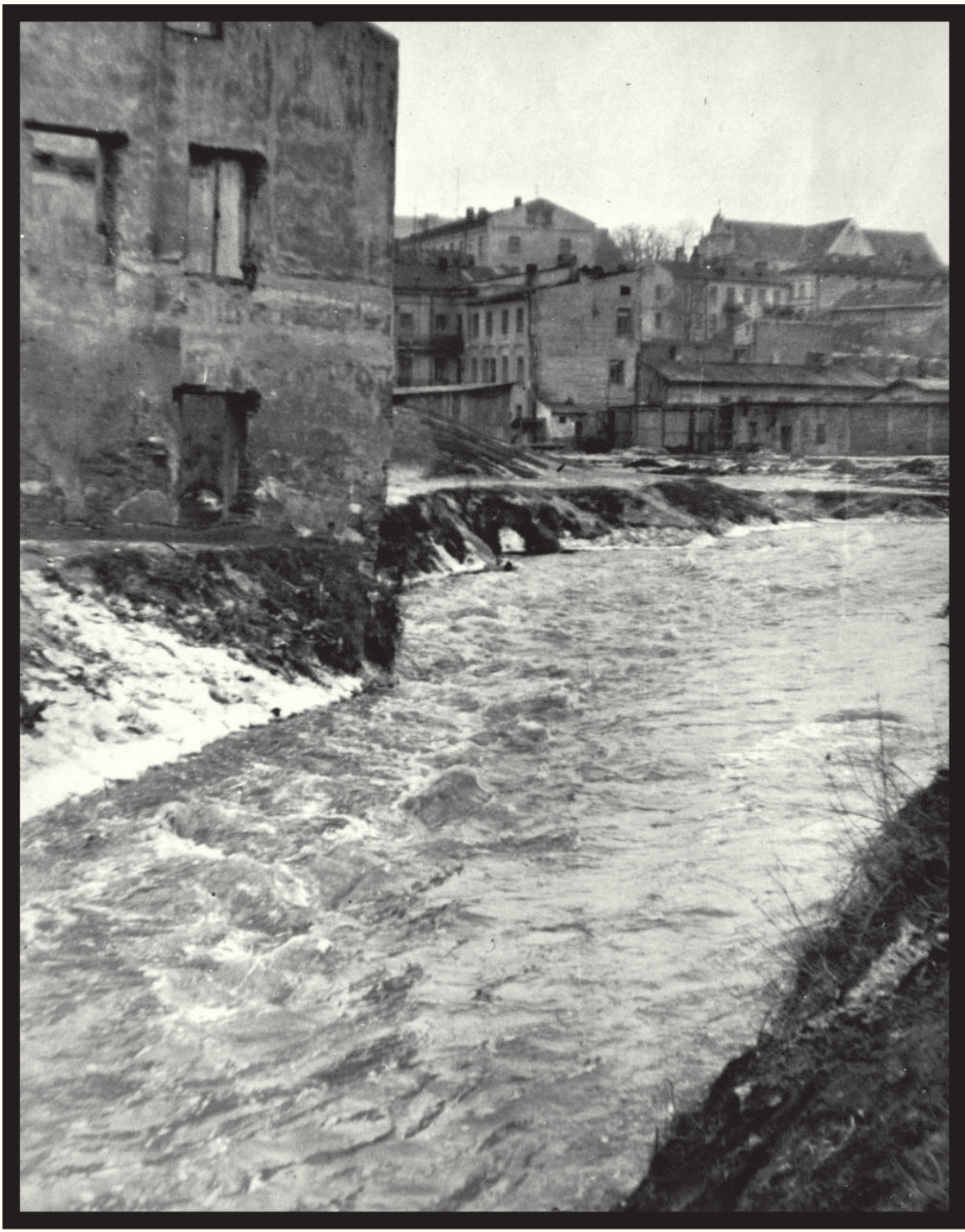
Po drugiej stronie mostu rozchodziły się dwie inne ulice. Pierwszą z nich było Podwale (w starszej formie Podwał), które od znajdującego się tam w XVII wieku szpitala nazywano po żydowsku **Untern Lazer** [13] (Pod Łazarzem). Na sam kościół św. Wojciecha mówiło się natomiast **dos Jidisze Klojster** [14] (Klasztor Żydowski), ponieważ na początku XIX wieku zrujnowana budowla została zamieniona na mieszkania dla ubogich Żydów i niewielki dom modlitewny. Drugą z ulic odchodzących od tej strony mostu była Krawiecka, jedno z najbiedniejszych miejsc w całym Lublinie. Ogólnie ulicę nazywano po prostu **Krawiecke** [15], ale bardzo interesująco przedstawiają się jej nazwy zwyczajowe. Na pierwszą jej połowę mówiono **Woskebojne** [16] (Woskobojnia), mając zapewne w pamięci jakąś fabryczkę wosku. Jej druga połowa funkcjonowała z kolei pod nazwą **Unterszlos** lub **Untern szlos** [17] [18], czyli Podzamecze. Dokładnie w ten sam sposób nazywano ulicę równoległą do Krawieckiej – Podzamecze właściwe. Te dwie ulice wytyczono i odróżniono od siebie stosunkowo późno, w żydowskim nazewnictwie odbijało się zatem echo czasów, kiedy cały obszar na południowy wschód od Zamku, luźno i dość niedbale zabudowany, określano mianem Podzamecza. Dzisiaj, z trudnych do zrozumienia powodów, Podzamecze zawędrowało daleko na północ, stanowiąc przedłużenie alei Unii Lubelskiej i rozwidlając się w ulice Walecznych i Unicką (dawniej biegła tamtędy ulica Franciszkańska). Krawiecka w każdym razie zataczała za Zamkiem łuk, biegła na północ, po czym na wysokości dzisiejszego przejścia dla pieszych między aleją Unii Lubelskiej a Tarasami Zamkowymi rozpywała się w plac Krawiecki i wpadała w ulicę Jateczną. Kilka metrów dalej, w kierunku obecnego placu PKS, z Jateczną łączyła się niewielka ulica Mostowa. Część Jatecznej między Mostową a Sienną (która przed wojną biegła aż do dzisiejszego ronda im. Romana Dmowskiego) nazywano **lebn kwores brikl** [19] (Obok Mostka Cmentarnego) lub **di kwores briklech** [19] (Mostki Cmentarne), ponieważ wiodła tamtędy (przez Sienną) pierwotna droga na stary cmentarz żydowski. Na dalszy odcinek Jatecznej mówiwono **Jatkegas** [20] (czyli właśnie Jateczna, chociaż jatek dawno, a może i nigdy tam nie było), natomiast część ulicy stanowiącą wąski zakręt między synagogami Maharszala i Maharama a ulicą Szeroką nazywano **dos Szulgesl** [21], co w tym przypadku oznacza nie Szkolną, ale Uliczkę Synagogalną.

Gdzie była ulica Apteczna?

Gdyby z Szulgesl wrócić na początek Szerokiej, niedaleko dzisiejszych schodów na Zamek znajdowało się niewielkie przejście przebite pod Zamkową. Oficjalnie nazywano je Bramą Podzameczą, ale i Polacy, i Żydzi mówili na nie Brama Zastrana. Po żydowsku funkcjonowały dwa określenia tego miejsca i oba znaczyły to samo, z tym że **Farkakte Brom** [22] to Brama Zastrana bez ogródek, a **Fardoste Brom** [22] to eufemizm. Ta druga nazwa wzięła się od słowa „dos” – „to”, stąd „dosn” – „robić to”, a „fardoste” – „zarobiona”. Dzisiaj w jej miejscu, lekko przesunięte na południe, znajduje się ciasne przejście pod mostkiem na Zamek. Jak na ironię, tuż obok wybudowano kilka lat temu nowoczesny szalet.

Jeszcze dalej na Szerokiej, w miejscu, w którym dzisiaj zaczyna się plac Zamkowy, otwierał się wąski przesmyk między Szeroką a Kowską. Był to nieistniejący dzisiaj fragment ulicy Cyruliczej, który Żydzi nazywali **Aptejgesl** lub **Aptejk ulice** [23], czyli Uliczka Apteczna. Nazwa brała się oczywiście od apteki, która przez wiele lat znajdowała się przy końcu tego zaułka. W całym mieście nazywano ją podobno „żydowską apteką”, chociaż w rzeczywistości należała do chrześcijanina – magistra Szeligi. W swoim dalszym biegu Cyrulicza rozszerzała się do swojej obecnej postaci, a jej lewą stronę nazywano od imienia żony pewnego potentata **Fajgele Awrum-Lejzers zajt** [24] (Strona Fajgi od Awruma Lejzora). Mężczyzną tym był najprawdopodobniej Abram (po żydowsku Awrum) Lejzor Finkielsztajn, mąż Fajgi z domu Landau, który w połowie XIX wieku posiadał w tym miejscu ogromny plac rozciągający się aż do Czechówki. Fajga Landau nie była zresztą pierwszą żoną Finkielsztajna, a kiedy w 1856 roku wychodziła za niego za mąż różnica ich wieku wynosiła kilkadziesiąt lat. Ona sama urodziła mu około dziesięciorga dzieci, a pewnie miał ich jeszcze więcej, zmarł zaś w roku 1872. Kto wie, być może rozwój przestrzenny całej tej okolicy miał związek z podziałem własności Finkielsztajna pośród jego licznych spadkobierców.

Prawą stronę Cyruliczej nazywano z kolei **Icze-Mejer składniks zajt** [25], czyli strona składów Icze-Mejera, kolejnego bogacza z przelomu wieków. Oprócz tego, od nazwiska właściciela domu przy Cyruliczej 4, zwykło się na nią mówić **Borensztajns zajt** [25] (strona Borensztajna), natomiast na miejsce, w którym Cyrulicza wpadała w Lubartowską mówiło się **di Berze** [26] (czyt. *ber-ze*), czyli z rosyjskiego Gielda, bo podczas I wojny światowej mieściło się tam centrum żydowskiego handlu walutami. W owym czasie ulicę Cyruliczą przecinały dwie inne – Furmańska i Nadstawna. Tę drugą, mimo że była to całkiem



spora ulica, nazywano **dos Gesl** [27], czyli Uliczka albo Zaułek. Jeszcze w początkach drugiej połowy XIX wieku (a może i na początku XX?) cały obszar między Nadstawną a Lubartowską (zatem także Furmańską i pewnie Cyruliczą) nazywano ulicą Nadstawną. Zanim odróżniono od siebie poszczególne ulice, w mieście istniały co najmniej dwie Nadstawne, z których druga biegła tam, gdzie później Furmańska. Dla odróżnienia najstarszą część Nadstawnej nazywano po żydowsku **Chejder gesl** [27], czyli Uliczka Chederów, które miały znajdować się właśnie w tym miejscu. Według innych źródeł żydowskich na jedną z ulic w Lublinie mówiono także Podstawna, co stanowi małą zagadkę. Może chodzi o samą Nadstawną, może o Furmańską, a może o tak zwany Zakręt, czyli miejsce między powyższymi a Cyruliczą? Może to być także zwyczajna pomyłka. Do dzisiaj zachował się tylko niewielki fragment Nadstawnej powyżej Czechówki, a Furmańska zamieniła się w pętlę i na krótkim odcinku przejęła bieg starszej ulicy. Nieco niżej, po drugiej stronie Kowskiej u zbiegu Rybnej i Noworybnej znajduje się plac Rybny, który w jidysz nazywano **ojfn barg cwiszn di gasthajzer** [28], czyli Na Górze Między Gościńcami.

Most Żelazny i Port Kokebebe

Od zachodu Stare Miasto zamyka ulica Lubartowska, przed wojną centrum kulturalno-ekonomicznego życia żydowskiego w Lublinie. Ulica znana była pod bardzo wieloma nazwami. Zasadniczo mówiono na nią w jidysz **Lewertower gas** [29] (Lewartowska), zachowując tym samym starodawną nazwę Lubartowa. Oprócz tego nazywano ją **Lubartowske** [29], ale także **der Najer Weg** [29], czyli Nowa Droga. Nowej Drogi nie należy mylić z ulicą Nową, czyli pierwszym odcinkiem dzisiejszej Lubartowskiej, ciągnącym się od Bramy Krakowskiej do skrzyżowania z Kowską i Świętoduską. Tę ulicę nazywano **Nowe** [30], ale również **hajm Pojliszn Targ** [30] – przy Polskim Targu, czyli placu targowym między Nową a Świętoduską. Zeby było trudniej, Nową Drogą zarówno Żydzi jak i Polacy określali także oddaloną o dwa kilometry aleję Piłsudskiego, więc jeśli się uprzeć, w Lublinie były trzy ulice o niemal tej samej nazwie. Lubartowska doczekała się także kilku synonimów. Zamiast „iść na Lubartowską”, mówiło się „iść do szpitala (żydowskiego)”, a zamiast „iść na Rogatkę Lubartowską”, chodziło się „do fabryki Hessa”. Nim doszło się jednak do jednego i drugiego za tzw. Mostem Żelaznym na Czechówce mijalo się Nowy Plac Targowy (znany także jako Stary Targ!), nazywany po żydowsku **hajm Jidiszn Targ** [31] (przy Żydowskim Targu) albo **Fisztarg** [31] (Targ Rybny). Chyba nietrudno było przed wojną o nieporozumienia, bo mianem **Najer Targ** [30], czyli Nowego Targu Żydzi nazywali także wspomnianą wcześniej ulicę Nową. Oprócz Lubartowskiej na Nowy Plac Targowy (ale nie Nowy Targ) prowadziły Furmańska, Nadstawna, Targowa i Probstwo, dzisiaj natomiast w jego zachodniej części znajduje się sklep Bazar LSS Społem Lux. Nieopodal biegła uliczka Browarna, którą dzisiaj w dużej mierze



pożarła aleja Solidarności. Nazywano ją po żydowsku **Szochetim gesl** [32] – Uliczka Szochetów, czyli rzeźników rytualnych, ponieważ znajdowała się przy niej rzeźnia drobiu. O Browarnej będzie zresztą mowa jeszcze później.

Od północy cały ten obszar opływała ulica Ruska, zataczająca łuk aż do Szerokiej i Cerkiewnej, za którą zaczynała się ulica Kalinowszczyzna (pierwszy jej odcinek nazywano **der Brejter weg** [33], czyli Szeroka Droga). Ruską Żydzi nazywali natomiast **Rajszer gas** [34]. Znaczenie tego słowa jest niejasne, ale chyba pobrzmiewa w nim jidyszowa nazwa Rzeszowa, znaczyłoby ono zatem ulicę Rzeszowską, czyli prowadzącą na Ruś. Dziś przebieg Ruskiej uległ lekkim zmianom, przede wszystkim ulica straciła jednak swój mieszkalny charakter. Ze wszystkich budynków zachowały się tam bowiem tylko zabudowania prawosławnej katedry Przemienienia Pańskiego, studnia u zbiegu Ruskiej, Szerokiej i Cerkiewnej oraz jeden budynek na skrzyżowaniu z Targową. Ponad Ruską, jak wiadomo, wznosi się natomiast starożytny Czwartek. Całe to wzgórze (ale też ulice Czwartek i Świętego Mikołaja, dziś Szkolna) nazywano po żydowsku **Czutyk** [35] albo **Czutek** [35]. Nojeh Pryłucki, przedwojenny lingwista i wielokrotny poseł na Sejm tak wyjaśnił pochodzenie „Czutyku”: W polskim słowie „czwartek” akcentowane a przekształciło się w długie u; R występujące po długiej samogłosce zanikło w wyniku wokalizacji, v zasymilowało się z u i tak powstał lubelski „żuutyk” (N. Pryłucki, „Jidisz far ale”, nr 5, 1938).

W miejscu, w którym aleje Solidarności i Tysiąclecia krzyżują się z ulicą Lubartowską, nad ukrytą dzisiaj Czechówką, w której kobiety prały w tym miejscu bieliznę, przerzucony był przed wojną tzw. Most Żelazny. Po drugiej stronie z rzeczką spotykała się wspomniana ulica Browarna. Czechówkę na tym odcinku nazywano **Kokehebes tajch** [36], **Kokehebes port** [36], a czasem nawet **Kokehebes jam** [36] – odpowiednio rzeka albo staw, port i morze Kokebebe lub Kokebebegu. Ta przedziwna nazwa brała się od przewiska właściciela tego obszaru, niejakiego Augustowskiego, którego tereny rozciągały się swego czasu na całe Probstwo. Jeszcze w latach 30. Augustowscy, zapewne jego krewni, mieszkali w tych okolicach, a kto wie – może żyją w Lublinie do dzisiaj? Kiedy jakiś syjonista czekał na certyfikat umożliwiający wyjazd do Palestyny, pytano go podobno żartobliwie „wypływasz z portu Kokebebe?”. Skąd wzięło się to wymyślne przezwisko i co znaczyło – nie wiadomo, ale fakt, że nazywano od niego ten fragment Czechówki notuje kilka źródeł. Zresztą, gdyby ktoś pytał, gdzie znajduje się Kokebebe, wystarczy powiedzieć, że obok Szochetim gesl.

Piotr Nazaruk

Wzburzone wody Morza Kokebebe! Ul. Browarna podczas powodzi z 1947 r. [zbiory Wydziału Architektury, Budownictwa i Urbanistyki Urzędu Miasta Lublina].